

DZIS I JUTRO

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Rok IV

Warszawa, 25 kwietnia 1948 r.

Nr 17 (126)

TREŚĆ NUMERU: K. W. Zawodziński — Dokumenty literackie czy socjologiczne. N. Rostworowski — Plan i książki. A. Trepieński — O książkach dla szerokich mas. Wiersze powstańcze poszukują autora. W. Pietrzak — Drogi polskiej powieści XIX w. Nabyć, czytać nie czytać... Film. J. J. Szczepański — Przyczynki do sprawy Wolfa. Czytelnik uważa, że...

Artur Zatopiński

JESZCZE O EUROPIE

Europa utraciła pozycję centralną. Nie jest już pępkiem świata. Stała się polem ruin. Nie spełniona misja cywilizacyjna uczyniła ją kontynentem rozpaczliwym.

Europejczycy mogą dziś sobie powiedzieć: nasze własne idee zwróciły się przeciwko nam. To my Anglicy, Francuzi i Niemcy wyhodowaliśmy straszne marzenie o panowaniu nad światem. Historia nasza czym była: szkołą imperializmu i wylegarnią katastrof. W okresie rozwoju prądów wolnościowych dla wiliśmy wolność w koloniach. Ludy kolorowe przyswoiły sobie nasz dorobek wbrew naszym interesom i wbrew naszej woli. Biali ludzie nigdy nie umieli obdarzać innych narodów tym, co było istotnie wartościowe w ich życiu wewnętrznym. Nie przeznaczali swoich demokratycznych zdobyczy na eksport, nie umieli dzielić się zakresem wywalczonych swobód. Ich potęgą była pozbawiona siły atrakcyjnej. Z kolonizacją nigdzie nie szedł w parze skuteczny podbój duchowy. Metoda rabunkowej eksploatacji kapitalistycznej, przesłoniła wszelką myśl o chrześcijańskim pomowaniu dziejów. Nie zdołaliśmy opanować umysłów ludzi, którzy nam byli potrzebni. Postępowanie takie zawsze prowadzi do klęski. Zgubiła nas wiara w trwałość czysto fizycznych sukcesów. Przewaga Europy w świecie była mechaniczna, dlatego musiała się skończyć.

Cóż z tego, że nasz kontynent poszedł na emeryturę, skoro wzór złowrogięgo działania przepoił podświadomość ludów dorabiających się własnej potęgi? Ktoś może na to odpowie, że najazdy Tatarów i Turków nie miały nic wspólnego z wolą mocy zrodzoną w obrębie cywilizacji zachodniej, a przecież jako fakt historyczny istniały! Racja, ale w tamtych kręgach nie działało przecież chrześcijaństwo. Tam instynkt podboju był czymś psychologicznie usprawiedliwionym. Po cóż jednak mówić o ludach kolorowych? Wiemy, że nasza kultura jest obca, nieprzetłumaczalna i niezrozumiała dla nich. Dopóki my ją sami reprezentujemy, z reguły nikogo nie bierze. Zrozumiał to najlepiej Kościół katolicki zawdzięczający swe świeże sukcesy misyjne wykształceniu dużego zastępu księży chińskich, hinduskich i innych. *Racjonalizm polega na tym,*

że nasze idee okazują się płodne i atrakcyjne w oderwaniu od osobowości swych długoletnich wyznawców. Europejczycy nigdy nie mieli daru rozumienia mentalności innych kontynentów. Ich zdolność wczuwania się w psychikę narodów rasowo odrębnych, była zawsze nikła. Mówiąc o ludach kolorowych, coraz wyraźniej stwierdzamy że nasza cywilizacja jest nieprzetłumaczalna, obca i wręcz niepojęta dla nich. Tak długo dopóki my ją wyłącznie reprezentujemy, wyzwała opór i sprzeciw.

Świeże fakty pozornie obalają to rozumowanie. Łatwo przecież stwierdzić, że Gandhi, wyćniowanek uniwersytetów angielskich, przejął po prostu europejskie hasło o samostanowieniu narodów, po to, by rozplomić je u siebie w kraju. Gdyby nawet tak było, tragedia białych przez to jeszcze się powiększa. Działanie złośliwej dialektyki losu sprawiło, że wszystkie nasze istotne zdobycze zastosowane w skali globalnej, natychmiast zmniejszają nasz stan posiadania. Skoro mówimy o Gandhim wypadła tu zauważyć, że nacjonalizm w jego ujęciu nabrał cech szlacheckich. Oczyszczył się, wysublimował, co więcej wytworzył metody na naszym gruncie nieznanne. Jeżeli konflikt między Hindostanem i Pakistanem, mimo wszystko nabierze chamskiej zaciętości typowej dla Europejczyków, będzie to najlepszy dowód, że reżyserują go obce mocarstwa. Po cóż jednak tak daleko sięgać? Sytuacja w najbliższym otoczeniu jest przecież znacznie groźniejsza. Trzeba sobie uświadomić, że my sami dla siebie jesteśmy nie do zniesienia. Od czasów napoleońskich na pierwszy plan wybija się wola orga-

nicznego zespolenia tego kontynentu.

Ale — jak? Zawsze przez podbój i gwałt, zawsze przez awanturę. Napoleon nie umiał wydobyć z rewolucji francuskiej elementów zdolnych do przeobrażenia społecznej struktury krajów, które zdobył. Zawiodł go instynkt socjalny. Zniweczyła wiara, że można bić się jednocześnie przeciwko Rosji i Anglii. Brak koncepcji nadrzędnej i zespalającej w stokroć wyższym stopniu cechował działalność Hitlera. Brutalna wola przekształcenia ludzkości w niewolników Niemiec, musiała doprowadzić do katastrofy politycznej i militarnej.

Nie będziemy dalecy od prawdy stwierdzając, że ten sam sposób myślenia sprowokował klęskę białego człowieka w koloniach. Pojęcie imperializmu, opartego na presji fizycznej, historycznie już zbankrutowało. Dzisiaj wiemy, że ta metoda na dłuższą metę nie może dać rezultatów. Chodzi o podbój duchowy. Kto chce władać światem, ten musi mieć ideę odpowiadającą najwyższemu pragnieniu wszystkich narodów i ras. Taką, która wzbogaca i uszczęśliwia, a zdolna jest władać umysłami ludzi, bez zewnętrznego przymusu, bez siły budzącej pogardę. Pytanie dlaczego wieź religijna okazała się zbyt słabą, aby zjednoczyć Europę — to pytanie jest dzisiaj najbardziej tragiczne i niepokojące dla nas.

Przeciwnicy Kościoła powiedzą, że ilekroć władza świecka usiłowała wcielić w życie zasady Ewangelii, wysiłki takie tradycyjnie łączyły się z wolą podboju, z rycerską pasją zdobywczą, z gwałtem i okrucieństwem.

Pamiętamy dobrze jak znieprawili te święte dążenia Zakon krzyżacki w historii, ile zaborczej obłudy mieściła w sobie akcja krwawego nawracania na chrześcijaństwo, podjęta przez imperializm niemiecki.

Na przestrzeni dziejów jedynie Kościół okazywał się nieomylny. Chrześcijanie albo nadużywali religii dla celów politycznych, albo przez głuchy swój bezwład, torowali drogę wrogom wiary własnej.

Trzeba to odważnie stwierdzić, że katolicy 19 wieku nie umieli sprostać wymaganiom nauki Chrystusa. W przeważającej większości okazali się letni i bierni. Pozbawieni instynktów społecznych, uczynili wszystko, co tylko było możliwe, by przygotować grunt dla socjalizmu, który jest dla nas dzisiaj przeraźliwym wyrzutem sumienia. Może teraz nareszcie pojmiemy, że zasada miłości bliźniego musi być w każdym stuleciu przekładana na język obiektywnie koniecznych reform ustrojowych, w przeciwnym razie przestaje być żywa i czynna.

Socjologia katolicka narodziła się zbyt późno w stosunku do potrzeb epoki. Doszło w końcu do tego, że ospałych i tępych wyznawców musieli wyręczyć papieże. W encyklikach zostało powiedziane to, do czego my sami nie byliśmy w stanie dojść o własnych siłach.

Możliwe, że obraz ten jest jednostronny, dziś jednak mamy prawo do przemilczenia tych zalet, które nie zdołały zapewnić nam przewagi w dziejach.

Dzieje są naszym dziełem. Ponosimy winę za wszystko co się stało. Zatraciliśmy poczucie uniwersalnego charakteru chrześcijaństwa.

Dlatego właśnie pytamy: co należy uczynić, by religia mogła władać milionami swych wiernych bez reszty, nie utożsamiając się oficjalnie z żadną akcją czy ideologią tworzoną pod jej kierunkiem przez zespół katolików świeckich?

Doświadczenie dziejowe wykazało, że ilekroć władza duchowna zostaje utożsamiona ze świecką, interesy doczesne natychmiast wypaczają sens państwa chrześcijańskiego na ziemi. Cały nasz wysiłek musi dziś zmierzać do tego, byśmy umieli podporządkować się Instancji boskiej w sposób nie angażujący Jej autorytetu.

Wszystkie świeckie próby zapanowania nad światem, dotychczas kończyły się katastroficznie. Któż nam zareczy, że w przyszłości nie będzie inaczej? Ludzie lękający się władztwa Ameryki twierdzą, że jej hegemonia musiałaby być równoznaczna z przedłużeniem agonii kapitalizmu, ze sztucznym i krótko trwałym ożywieniem form już historycznie zmrzałych. Wedle tej opinii powrót do punktu wyjścia nie jest rozwiązaniem. Europa musi wyciągnąć konsekwencje ze swoich doświadczeń społecznych. Procesy, które tu zaszły, są nieodwracalne. Zdławić je można jedynie za cenę kryzysu i bezrobocia, przy pomocy policyjnego terroru.

Wysłuchajmy teraz drugiej strony. Przeciwnicy komunizmu sądzą, że sukces tej doktryny na obszarze globu byłby praktycznie równoznaczny z panowaniem światopoglądu materialistycznego. Gdyby marksizm był tylko pewną receptą ustrojową, a nie materialistycznym pomowaniem dziejów, sytuacja jego byłaby dużo łatwiejsza. Właśnie jego charakter antymetafizyczny wzbudza największe opory w milionach ludzi wierzących. Nawet zwolennicy upaństwowienia środków produkcji i reformy nie mogą uznać poglądu upatrującego w religii narzędzie przemocy klasowej, lub wykładnik przemian społeczno-gospodarczych.

Burżuazyjni ekonomiści wysuwają zastrzeżenia innego rodzaju. W ich oczach komunizm dopiero wtedy okaże się lepszy od kapitalizmu, gdy potrafi zapewnić ludności wyższą stopę życiową od tej, jaką osiągnęła Ameryka, a przede wszystkim kraje skandynawskie, stanowiące dziś wzór dobrobytu dla

Wytuczne

* * *

Cierpienie ludzkie nie da się odizolować. Nieugaszone wysiłkiem zbiorowym, zawsze w końcu dotyka potężnych i zdrowych. Jesteśmy wewnętrznie złączeni, tym samym układem krążenia. Pomoc okazana innym, strzeże nas od własnej klęski, miłość stanowi o intensywności doznawania świata. Nienawiść w zasadzie zwraca się przeciwko życiu.

Dm 1791 052

świata. Dopóki to nie nastąpi, socjalizm w przekonaniu sceptyków, będzie hipotezą roboczą, a więc przedmiotem doświadczeń i prób, wymagających empirycznego sprawdzenia w bliższej czy dalszej przyszłości.

Gdy Zachód woła, że komunizm mu zagraża, warto zapytać gdzie powstaje ta idea? Przecież marksizm jest ideą zachodnią! Narodził się w British Museum. Wyrósł z doświadczeń krajów wysoko uprzemysłowionych, oparł się na Heglu. Zachód zbiera owoce aktywności własnej. Jego idee z reguły zwracają się przeciwko niemu lub dojrzwają poza nim.

Podczas kiedy u nas przeżyły się nacjonalizmy, Hindostan i Pakistan, Żydzi i Arabowie, właśnie teraz wchodzi w fazę wyobryzlenia antagonizmów, które Europę zniszczyły.

Bądźmy pewni, że bardzo niedługo złudny okaże się podział na Zachód i Wschód, operujący dziś najbardziej nowoczesną cywilizacją i techniką par excellence zachodnią.

Sytuacja jest w tej chwili dramatycznie prosta. Świat boi się powrotnej fali kapitalizmu, ponieważ ludzie zdają sobie sprawę, że kapitalizm zmusiłby ich do ponownego przeżycia wszystkich strukturalnych kryzysów znanych z niedawnej przeszłości. Świat obawia się komunizmu, ponieważ propaganda głosi, że zwycięstwo tego kierunku oznacza utratę wolności wszystkich pozostałych. W okresie, gdy brak zaufania do potęg o charakterze wojskowym przybiera postać psychozy lekowej, pragniemy aby znalazł się autorytet moralny, nadrzędny w stosunku do walczących mocarstw, a zdolny wywierać bezpośredni wpływ na losy świata, bez udziału siły, która budzi podejrzliwość i niechęć współczesnych.

Jest to droga wielkości; ta właśnie, jaką ma przed sobą katolicyzm rozporządzający własną doktryną społeczną, w której przezwyższone zostały jednostronności zmagających się z sobą przeciwności.

Istnieje konieczność rozpoczęcia międzynarodowej akcji obejmującej wszystkie kraje Europy i świata. Chrześcijanie muszą zostać ideowo zmobilizowani, ponieważ przyszedł czas na ofensywę katolicką w dziejach.

CO JEST Z EUROPA?

Trzeba zacząć od analizy teraźniejszości. Europa jest dzisiaj polem doświadczenia. Na terenie Niemiec konkurują ze sobą dwie metody zarządzania światem. Rosja uważa, że ważniejsze od pożyczek i darów są strukturalne przemiany wewnętrzne. Dlatego aprobuje działanie tych sił, które przeprowadzają reformę rolną, uspołecznia środki produkcji i ograniczają wpływy stronnictw zachowawczych. Związek Radziecki wierzy, że narody demokracji ludowych wydobędą się same z impasu o ile kapitalizm nie będzie miał możliwości hamowania ich gospodarczego rozwoju. Trzeba przyznać, że Sowiety miały łatwiejszy start ekonomiczny, rozporządzają bowiem olbrzymią bazą aprowizacyjną nie tylko u siebie, ale i w Europie wschodniej. Dzięki temu, narody żyjące w ich bezpośrednim sąsiedztwie, nie były skazane na głód i mogły osiągnąć większe rezultaty w dziele odbudowy.

Stopień wyniszczenia fizjologicznego krajów położonych na zachód od Łaby, musiał być z

natury rzeczy bez porównania dotkliwszy. Anglia weszła na kontynent w dobie wzrastającego nasilenia własnej katastrofy gospodarczej, dlatego nie mogła przeciwstawić wschodniemu konkurentowi wysokiej stopy życiowej na obszarach przez siebie zajętych. Ameryka potrzebowała trzech lat na skalkulowanie planu Marshalla. Jej reakcja w obliczu nędzy zachodniego świata, okazała się niesłychanie powolna. Od początku było rzeczą jasną, że doraźna filantropia UNRRA tej otchłani załatać nie zdola. Prasa francuska otwarcie przyznaje, że gdyby akcja gospodarczego uzdrowienia Europy rozpoczęta została natychmiast po wojnie, kraje Europy wschodniej nie wyprzedziłyby swoich rywali w tym gwałtownym wysiłku produkcji i spożycia, niezbędnych dobr gospodarczych. Dzisiaj Europa wschodnia posiada nie tylko najżyźniejsze tereny rolnicze. Przeważa ona także w dziele odbudowy zniszczeń spowodowanych przez wieloletni kataklizm. Ameryka będzie musiała wydać dużo pieniędzy, żeby nadrobić opóźnienia wywołane przez jej długotrwałą bezczynność w ekonomicznym sektorze zachodnim.

Emulacja jest kwestią prestiżu. Narody patrzą i porównują. Aby ocalić autorytet kapitalizmu, trzeba dziś praktycznie dowiedzieć, że metody stosowane przez nich, potrafią zapewnić ludności wyższy poziom życia od tych, jakie stosuje socjalizm czy demokracja ludowa. Ekonomia w walce o rząd dusz — tak w istocie przedstawia się problem. Widowisko będzie pasjonujące. Złoty dolar po raz pierwszy zmierzy się z konsekwencjami doniosłych reform społecznych. Kto da więcej — oto jest pytanie!

Anglosasi mają to do siebie, że dość wolno rozumieją nową sytuację, ale z chwilą kiedy ją pojmą, tempo ich aktywności staje się nadspodziewanie szybkie. Współzawodnictwo podjęte na europejskim polu doświadczenia, pobudza organizm USA do najwyższego wysiłku w historii. Ameryka pożyczka pieniądze na zakup swych własnych towarów. W ten sposób opóźnia strukturalny kryzys kapitalizmu, pozbywa się nadprodukcji i nie dopuszcza do bezrobocia na terenie kraju. Tę samą funkcję spełnia przemysł zbrojeniowy pochłaniający więcej sił produkcyjnych niż wszystkie zamówienia kontynentalne. Ten naród puścił swe złoto w ruch, aby nie stanąć w miejscu i dać dowód swojej nadzwyczajnej sprawności.

CZAROWANIE BABCY ZRUJNOWANEJ

Europa leży w gruzach. Przy jej kamiennym łożu stoją dwaj lekarze. Każdy z nich leczy jej inną część ciała. Stosuje własne środki.

Doktor sowiecki to chirurg. Usuwa kapitalistyczne skrzepy z organizmu. Chce spowodować przybór czerwonych ciałek i w ten sposób staruszkę uzdrowić. Eskulap amerykański daje zastrzyk złota na zakup pszenicy i odbudowę zburzonego domu. Gdy chora powróci do sił, zapłaci mu honorarium. Ratuńek ten być może nie jest interesem, lecz jeśliby nie nastąpił, pacjentka dostałaby się w ręce konkurencji, a konkurencja potrafi być groźna.

Lecz nasi medycy posługują się nie tylko środkami fizjologicznymi. Stosują też psychoterapię, by zyskać zaufanie chorej

dla swych zbawienych zabiegów. Dlatego jeden lekarz bez przerwy mówi jej o marksizmie, drugi podnosi zalety kapitalistycznej demokracji. I tu następuje tableau!

BABCIA EGZYSTENCJALISTKA

W tym miejscu babcia ukazuje swoje zmurszałe oblicze. Znam, zanadto dobrze znam — powiada i kicha. Wszystko io o sobie kiedyś urodziłam. Teraz przychodzicie i częście mnie moimi dziećmi. Czy to nie zabawne?

DIALEKTYCZNY PAZUR BABCINY

Namawiacie mnie na demokrację staroliberalną. Tym mnie już leczyli, ale nic z tego nie wyszło. Twórcy tej koncepcji zawsze potrafią oddzielić pojęcie wolności politycznej od sfery ucisku ekonomicznego. Tam, gdzie ludzie są wyzyskiwani, swoboda wypowiedziania przeobrażeń nie może odmienić ich losu. W obliczu prywatnego władania środkami produkcji, wielopartyjne gadulstwo jest zwykłą praktycznie bezsilne. Demokracja nie jest ideą, lecz miejscem na wiele idei neutralizujących się nieszkodliwie we wzajemnym starciu, po to, żeby ustroił kapitalistyczny mógł sobie egzystować dalej. Tu chodzi o rozproszenie większości, która by mogła system przeobrazić. Stąd właśnie rodzi się kult dla wiecznie trwającej dyskusji, która nie jest w stanie spowodować przemian, doprowadza tylko do wyładowania w próżnię. Tam gdzie każdy minister reprezentuje inną ideologię, nie może być mowy o gospodarce planowej czy koordynacji działań. Wolność 19 wieku była iluzją werbalną. Nie miała odpowiednika w sferze stosunków społecznych. Maskowała ekonomiczną niewolę. Dlatego musiała trzasnąć. Prawdziwa swoboda wcale nie jest równoznaczna z tym, żeby w radio mógł przemawiać codziennie inny przedstawiciel partii politycznej. Chodzi o wolność od nędzy, o tempo zaspakajania potrzeb. Ważne jest zwiększenie produkcji, budowa domów i obniżka cen. Ludzie syci przestają się klócić. Najlepsza agitacja to stwarzanie faktów.

Doktor był zaskoczony. Babcia atakowała go dalej. Proszę mi wierzyć mój drogi. Nic nie ocali kapitalizmu. Takich trików mi nie proponujcie. Gdyby on nawet potrafił zwyciężyć, zemści się na nim brak mitu, brak pozytywnej, praktycznej wizji ustrojowej. Nie można powrócić do punktu wyjścia. Komunizm jest skutkiem degeneracji systemu własności prywatnej. Nie może być zastąpiony przez to, co go wywołało. Takie rozumowanie jest ahisteryczne, a więc absurdalne. Wpędza nas w błędne koło katastrofalnych w istocie powtórzeń.

W tym miejscu marksista pomyślał, że podbój duszy babciny będzie dla niego rzeczą stosunkowo łatwą. Staruszka jak widać wiele skorzystała z psychoterapii czerwonej. Czerwone ciałka krwi wyraźnie zaczęły w niej działać.

BABCIA ROBI NIESPODZIANKE

— Niech pani powie Europo! Czy socjalizm nie jest jedynym lekarstwem?

— Jak dla kogo. Szwajcaria nie ma socjalizmu i żyje bardzo szczęśliwie. To samo można powiedzieć o Szwecji. Zresztą drogi panie. Czy my wiemy co to

jest socjalizm, Należałoby właściwie podjąć spór o definicję. Czy upaństwowienie środków wytwarzania można uznać za równoznaczne z wprowadzeniem gospodarki socjalistycznej? Zdawałoby się, że tak, dławczóg więc pisze się u nas z ironią o rządzie partii pracy? Nasi dziennikarze twierdzą, że Attlee i Bevin zdradzili interes klasy robotniczej. Między innymi także i dlatego, że reforma rolna nie doszła u nich do skutku. Cóż by ona jednak zmieniła na małej wyspie, gdzie prawie nie ma co dzielić. Zresztą przyznam się panu, doktorze, że wcale nie jestem pewna, czy wzmacnianie stanu drobnych posiadaczy jest aktem prawdziwie socjalistycznym. Doświadczenie wykazało, że gospodarka rolna opłaca się tylko na wielkich mechanicznie uprawnych obszarach. Drobnoustroje zawsze biedę klepią. Karłowate gospodarstwa z reguły osiągają niższy stopień wydajności z hektara. Ktoś gotów dopatrzeć się w tym argumentu na rzecz kolchozów. Wiem. Takie rozumowanie jest nie do przyjęcia dla chłopów. Naruszenie instynktu własności w obecnym stadium rozwoju musi okazać się niewykonalne. A upaństwowienie fabryk? Jakże często pociąga za sobą wielkie deficyty! Czy pan sądzi, że dobrobyt Anglii doznał wyraźnej poprawy dzięki temu, że ciężki przemysł znalazł się w rękach kosztownej biurokracji i wielkiego sztabu urzędników? Diabła tam! Każdy Brytyjczyk dzisiaj panu powie, że takiej nędzy jak teraz nigdy jeszcze nie było. Dlaczego? Bo kolonie nie przysyłają już żywności darmo albo za pół ceny. Na artykuły spożywcze potrzeba ciężkich dewiz. Jeśli jakiś kraj nie posiada u siebie bogactw naturalnych, to mu żaden podział dochodu społecznego na pewno nie pomoże. Ważne jest to, żebyśmy mieli co dzielić, a cała reszta sprowadza się do próbowania mniej lub więcej zawodnych teorii. Socjalizm cudu nie zrobi. Skoro już o tym mówimy, zadam panu jedno dręczące pytanie.

W tym miejscu doktor nerwowo zastrzygł uszami i cały w słuch się zamienił.

— Czy Marks głosił upaństwowienie czy uspołecznienie narzędzi produkcji?

— Poruszyła pani diabelnie trudne zagadnienie.

— A widzi pan! Bo ja od początku hoduję w sobie pewne podejrzenia. Sądzę mianowicie, że prawdziwego socjalizmu jeszcze nigdzie na świecie nie było. Na razie jest kapitalizm państwowy jako ewolucyjna forma przejściowa. Cóż ja w tych warunkach mogę powiedzieć o zjawisku, które nie zostało empirycznie jak to się mówi, sprawdzone w historycznym rozwoju dziejowym. Dziś jest jeszcze za wcześnie na praktyczne wnioski. Mamy do czynienia z czymś co dopiero zdaje życiowy egzamin. Dlatego tak trudno się zadeklarować.

Na tym wywiad z babcią Europą kończymy. Jeżeli ten pieśczętliwy epitet brzmi dla kogoś za mało poważnie, użyjemy nazwy innej a niemniej prawdziwej.

KONTYMENT NA EMERYTURZE

Historyczny zbieg okoliczności sprawił, że Europa przeżywa dzisiaj inwazję swych własnych idei. Marksizm ściera się

z imperializmem kapitalistycznym. Kontynent ten potrafił przekazać nieużytym historycznym ludom koncepcje, których u siebie w pełni nie zrealizował. Dlatego właśnie nawiedza go powrotna fala mitów 19 wieku.

Powiedzieliśmy już, że demokracja polityczna nie miała nic wspólnego z demokracją społeczną ani z ekonomicznym wyzwoleniem człowieka z niewoli kapitalistycznej. Połwiczność ujawniona w sposobie realizacji wolności, z biegiem czasu musiała okazać się podstawową sprzecznością historii.

Przyszłego dziejopisa niewątpliwie zastanowi fakt, że socjalizm panujący w umysłach Europejczyków na przestrzeni całego stulecia, nie przeobraził żadnego z ówczesnych ustrojów nawet w tych okresach gdy socjaliści sprawowali władzę. Widocznie system parlamentarny, zbudowany na zasadzie stałej równowagi sił, nie daje możliwości przekształcenia struktury społecznej w drodze głosowania. Jedynym kontrargumentem mogłaby być w danym wypadku najświeższa historia angielska. Zasadniczo jednak marksizm stał się dynamiczny przede wszystkim u młodych historycznie ludów wschodniej Europy. To samo można powiedzieć o demokracji Stanów Zjednoczonych. Dwa style życia zrodzone na terenie zachodnim, osiągnęły największy ciężar gatunkowy poza nim i rzec można w oderwaniu od bazy wyściowej. Konsekwentny w sensie samobójczym, doprowadzony do końca, okazywał się tylko zaborczy, katastrofalny i tępy despotyzm, ten właśnie, który zaraził dziejową podświadomość ludów. Nie będziemy dalecy od prawdy stwierdzając, że Europa Hitlera i Napoleona wyhodowała w swym łonie straszliwy obosieczny mit o panowaniu nad światem. Gdyby od czasu najazdów tureckich i mongolskich nikt tej myśli na ostrzu miecza nie podjął, złowroga atrakcyjność jej okazałaby się zapewne mniej żywa.

Zarówno szczęśliwe jak i katastrofalne pomysły zachodniej części naszego kontynentu zrobiły karierę światową, weszły w krew dużo silniejszych narodów i będą się dalej kotłować. Trzon kontynentu utracił jak gdyby własny punkt ciężkości. Wiemy jedno: tylko siła moralna potrafi nas wszystkich zjednoczyć. Skoro nie możemy być już niczym innym, stańmy się przynajmniej tym, czym była starożytna Grecja w obrębie rzymskiego imperium: nauczycielami zwycięskiego świata. Dla chrześcijańskiej Europy istnieje jeszcze jedna ale tym razem już ostatnia szansa: na imię jej: Podbój duchowy!

Artur Zatopiński

Nowość! Nowość!

PISMO ŚWIĘTE Nowego Testamentu

Wstęp, nowy przekład z Wulgaty komentarz

przez

Ks. Eugeniusza Dąbrowskiego

Wydanie podręczne

Albertinum

Księgarnia św. Wojciecha Poznań-Warszawa-Lublin

K. W. Zawodziński

Dokumenty literackie czy socjologiczne

Bardzo często zarzuty, stawiane literaturoznawstwu polskiemu przez zwolenników marksizmu, pojmują się, jako pretensję o brak zainteresowań społecznych. Byłaby to pretensja niesłuszna: obrońcy naszej tradycyjnej wiedzy o literaturze wskazują na dominujący w niej, prawie wyłączny w końcu ubiegłego i na początku bieżącego wieku, w klasycznej dobie powstawania wielkich syntez historii literatury polskiej, punkt widzenia patriotyczny, wiązanie rozwoju piśmiennictwa z losami narodu, ocena pisarzy w zależności od tego, czy byli dobrymi Polakami lub nie, ich dzieła — zależnie od ich wartości dydaktycznej, jako „oświaty kaganiec”. Nie brak było również troski o takie czy inne związanie przyczynowe, rozwoju literatury z życiem społeczno-ekonomicznym, z rozwojem, rozkwitem gospodarczym lub uciskiem różnych stanów, duchowieństwa, szlachty, miast, chłopów, co na „walkę klas” nie trudno przetłumaczyć. Przeszłość tej klasy, która stosunkowo najmniej wyraziła się w piśmiennictwie i nie zrównoważyła tego, jak gdzieś indziej, stworzeniem bogatej „literatury ludowej” (jeśli ustnie przechowaną, bezimienną twórczość tak nazywać możemy), tj. ludu wiejskiego, żywo, już conajmniej od czasów romantyzmu interesowała badaczy dziejów naszej twórczości w słowie.

W dwudziestolecie, które, bądź co bądź, było okresem potężnego dopływu wychodźców z warstw upośledzonych społecznie („wydźwięków”), jak ich obcem słowem nazwać by można, zarysowała się już wyraźnie potrzeba zrekonstruowania genealogii klasowej odgrywaną przez, coraz ważniejszą rolę polityczną i kulturalną chłopów polskiego: naświetlenie i podniesienie jego niedocenionych zasług, zarówno w dziejach państwa, jak w dziejach kultury, stało się przedmiotem szeregu dzieł naukowych i wydawnictw; i już wówczas wyodrębniająca się, choć nie zawsze pod tą nazwą, literatura „chłopska”, nie tylko dialektyczna istniejąca w ramach literatury ogólnonarodowej, domagała się własnej tradycji, na której się wspierała lubi każde wkraczające w życie, choćby najbardziej nowatorskie, zjawisko. Nie zatrzymując się na pracach ściśle historycznych, może nabyć od ręki wskazać kilka publikacji o takim, czy innym, ale niewątpliwie literackim znaczeniu: znajdują się one w dwóch wielkich tomach **Pamiętników Chłopów**; starszy od nich o wiele ich brat, pamiętnik Deczyńskiego, zrobił, jak wiemy, piękną karierę literacką, służąc za osnowę głośnej powieści L. Kruczkowskiego **Kordian i Cham**; regionalizm, zwłaszcza w zastosowaniu do niektórych dzielnic, np. Śląska, przyczynił się bardzo do wzbogacenia dokonania pisarskimi zasług chłopów polskiego w literaturze ojczystej. Wreszcie wybitny myśliciel, publicysta, krytyk, K. L. Koniński schyłek swego niedługiego, a męczącego życia wywota poświęcił tej sprawie i wydał swą dwutomową antologię **„Pisarze ludowi”**.

Po drugiej wojnie światowej ruch ten, dla wielu powodów, ożywił się bardzo i zmanifestował się jasnowarwie, co organizacyjnie wyraziło się utworzeniem w ramach Z. Z. L. P. sekcji pisarzy chłopskich, do dziś dnia mocno dyskutowanej, co do swej celowości. Najnowszym wreszcie, sygnowanym znakomitem nazwiskiem, obławem tych zainteresowań jest **Wybór Pisarzy Ludowych***, po-

przedzony wstępnym tomem **Zarysu nowszej literatury ludowej****). Nawiązując do pierwszych zdań niniejszego artykułu, jest to tem bardziej znamienne, iż najwybitniejszy dziś pewno przedstawiciel tradycyjnej linii literaturoznawstwa polskiego, tytulariusz katedry historii literatury na U. J., podjął się zadania, w którym pierwiastek społeczny odgrywa dominującą rolę. Nie można jednak odmówić i z ogólniejszego stanowiska literaturoznawczego znaczenia, **Zarysowi nowszej literatury ludowej**, choćby jako zstąpienie ze szczytów literatury, wyłącznej dotychczas domeny zainteresowań naszej historii literatury, jako jednemu z nielicznych u nas wejrzeń do literatury drogoplanej, która się prosi o wzięcie na warsztat od całych już lat dziesiątków. Pod tym względem książka Stanisława Pigońa jest przeoraniem (nie ostatecznym obrobieniem gruntu), pierwszą orką; ale i to wiele znaczy; i można tylko życzyć, aby i inne części tej całości równie dzielnym plugiem zostały ruszone. Nie tylko, choć najobszerniej, zostały tu ukazane historyczne i społeczne warunki rozwoju literatury ludowej, ale również charakterystyka specyficznie literacka zjawiska została krótko, ale plastycznie, wszechstronnie i w sposób niebudzący sprzeciwu zawarta w systematycznym, podług rodzajów literackich, wykładzie.

Ten specyficznie literacki punkt widzenia trzeba opuścić, czytając I-szy tom samego **Wyboru Pisarzy Ludowych**. Prawda, że to są prozaicy, pamiętnikarze i publicyści: tom II, poświęcony „poetom i gawędziarzom”, przyniesie na pewno bogatszą strawę zainteresowaniom specjalnie literackim, i to, co zapowiada prof. Pigoń w tomie wstępnym, nakazuje oczekiwać jego pojawienia się z wielką niecierpliwością. Tam będziemy mogli na materiale przy-

** Stanisław Pigoń: **Zarys Nowszej literatury ludowej** (przed rokiem 1920). Kraków, 1946. Wydawnictwo Zakł. Narod. im. Ossolińskich, str. 238 i 2 nhl.

Nik Rostworowski

Plan i książki

Pamiętam jak gwałtowny protest wewnętrzny wzbudził we mnie felieton Jana Kotta, w którym cytował on powiedzenie Nałkowskiej, brzmiące mniej więcej tak: „Nie ma większej satysfakcji niż oglądanie ludzi szczęśliwych w tym co jest konieczne...” (za dosłowność cytatu nie reze-). Takie stwierdzenie w ustach człowieka pióra, wydawało mi się zupełnie nie do przyjęcia i wręcz uwłaczające ideałowi klerka, do jakiego prawdopodobnie nigdy Nałkowska nie pretendowała. Z tym większym zażenowaniem podejmuję dziś temat z góry predystynujący mnie do kruszenia kopii w obronie konieczności na tyle nieodwracalnych, że absolutnie mogłyby się obejść bez obrony. Marksisci, którym Kisiel dowcipnie wytyka, że ich zdolność przewidywania jest niezawodna ale, ex-post w tym wypadku na czas potrafili dostrzec najistotniejszy element naszej epoki jakim jest planowanie. W ciągu trzech lat zdążyliśmy się już z tym terminem oswoić. Intellektualiści katolicki w skali rodzimej, bez żenady szermują dziś argumentem typowo dialektycznym widząc w planowaniu nieodwołalną funkcję postępu

technicznego. Przypuszczam jednak że dla ogromnej większości czytelników „Tygodnika Powszechnego”, artykuł Jerzego Turowicza pt. **Kultura i plan***, jaki się ukazał w listopadzie 1947 r. był poważnym kamieniem obrazy: Też coś! — Że „Głos Ludu”, że „Robotnik”, ale organ książęco-metropolitalny za planowaniem w kulturze tj. za planowaniem w sferze niepodzielnie podległej duchowi... Bo niechby „socjalistyczne” pomysły w organizowaniu życia gospodarczego i społecznego...”

Niestety ów w krzywym zwierciadle ukazany obraz reakcji zwykłego człowieka w równej mierze stanowią odbicie tragicznego grymasu jaki żłobi oblicze przerażonej ludzkości. Wolność jest zagrożona wszędzie tam, gdzie cywilizacja techniczna zdążyła dotrzeć w swej obecnej fazie rozwoju. Problem oczenia wolności przy pomocy rozwiązań innego typu niż te, które proponował Jean Jacques Rousseau jest na pewno najbardziej centralnym zagadnieniem chwili. Straszne i wspaniałe czasy skazujące każdego na wybór między heroizmem a śmiercią. To co normalny człowiek instynktownie od-

osobną grupę, w granicach ich rodzaju literackiego, a ich autorów w jakąś specyficzną grupę pisarzy. Tak samo napisane pamiętniki bywają utworami synów oficjalistów dworskich lub aptekarzy — nie powód, żeby dla tych kategorii tworzyć osobne grupy zawodowe. I to jest właśnie najślabszą stroną tego ruchu wokół „Pisarzy Ludowych”, tak samo dająca się odczuć w aktualnych sporach, co do celowości ich odrębnej organizacji, jak i w sposobie ujmowania ich protoplastów. Humanista jest przyzwyczajony do płynnych granic w klasyfikacji interesujących go zjawisk, ale w tym wypadku samo **fundamentum divisionis** jest niejasne i bardzo mgliście zarysowane.

Jeśli chodziło o ustną twórczość ludową, to i cechy zewnętrzne i najistotniejsze właściwości nieodzownie związane z jej istotą wyróżniają ją w sposób oczywisty. Pisarze chłopscy, to jest twórcy sami zapisujący swe utwory, są w gruncie rzeczy inteligentami lub półinteligentami wiejskiego pochodzenia, piszącymi zupełnie w taki sam sposób, jak pisałby i pisze samouk - inteligent, albo półinteligent w miasteczku, czy nawet w większym mieście; a to, że on pozostaje przy swym warsztacie, podczas gdy tamci w dalszym ciągu orzą ziemię — nie stanowi tak bardzo istotnej różnicy, zwłaszcza jeżeli chodzi o wybitniejszych pisarzy, których znaczenie jest, jak wielu już ogłoszonym tomie, zauważalne, niewątpliwie, a czasem pierwszoplanowe z jakiegoś względu, w skali ogólnonarodowej. Przypuszczam, że i wśród poetów znajdują się tacy, których talent i rożgłos pozwala zaliczyć do rzędu poetów „minorum gentium” literatury ogólnopolskiej. Tak, jak niebardzo potrafimy zrozumieć, dlaczego Witos ma pozostać w grupie pisarzy ludowych, a Fr. Bujak nie, tak samo nie ma chyba dobrej racji, żeby Piętaś, Frasiak lub Ożóg korzystali z jakichś specjalnych stanowych przywilejów w literaturze: wnieśmy się jeszcze o szczebel wyżej w hierarchii talentów i przyrodzonej inteligencji, a będziemy mogli zapytać czemu Ka-

sprowicza nie znajdujemy wśród poetów ludowych?

Podobne do tych kilku, rzuconych tu na papier, wątpliwości, w sposób systematyczny, precyzyjny i przemyślany rozwija w nadzwyczaj ciekawej rozprawce jeden z najzdolniejszych krytyków pokolenia, które dojrzało przed ostatnią wojną, sam mocno z ruchem ludowym związany, Stefan Lichański, w rozprawce o **metodzie badań literatury ludowej** (Prace polonistyczne, seria V, Łódź, 1947). Nie sposób w tych szczupłych ramach przedstawić niespłycając tych bardzo głębokich refleksji. Dorzucę tylko na zakończenie własną uwagę o różnicy pomiędzy wyodrębnianiem i badaniem literatury ludowej w skali ogólnopolskiej, w szerokiej ramach, a bardziej monograficznymi studiami nad niektórymi częstkami zjawiskami tej sfery. W moim długim zawodzie krytyka zetknąłem się naprzykład z grupami pisarzy ludowych, żyjącymi samodzielnym życiem w jakimś zapadłym kącie czyli, mówiąc wznioślejszym stylem, „w cichym ustroju”, które to grupy łatwo wyróżnić według niewątpliwych oznak terytorialnych. Jednej takiej grupie, „poetom Smardzowicz”, mogłem poświęcić stronicę tylko jedną, w ograniczonych ramach przeglądu poezji (w „Roczniku Literackim 1937”), choć Mieszko Wojdała i jego towarzysze zasługiwałyby naprawdę na baczniejszą uwagę zarówno u socjologa, jak i literaturoznawcy. Tego rodzaju grup regionalnych zauważyłem sporo, ale trudno mi doradzić jakiś logiczny sposób włączenia badań nad nimi do obrazu literatury ogólnonarodowej.

Pomimo tych wątpliwości metodologicznych praca profesora Pigońa na pewno nie jest zmarnowanym wysiłkiem w ramach naszej wiedzy o literaturze, prócz tego zaś napisana jednym językiem, w którym żadne słowo nie zostało puszczane na wiatr, bez przemyślenia, cała nacechowana stylem unikającym „klisz” i łatwizny dziennikarskiej — stanowi porywającą lekturę, którą każdemu myślącemu Polakowi można zalecić.

K. W. Zawodziński

* Opracował Stanisław Pigoń. Część I. Pamiętnikarze i publicyści. Wrocław. Wydawnictwo Zakł. Narod. im. Ossolińskich, 1947, str. 303 i 1 nhl.

ne jednostki spośród inteligencji prywatnego sektora mogą sobie pozwolić. Obarczanie winą państwa jedynie za ten stan rzeczy byłoby dużą niesprawiedliwością. Rządzi obóz lewicy i wydaje mi się, że wiele błędów Ministerstwa Kultury i Sztuki równowagi choćby przez Czytelnika jeden z czołowych przedstawicieli tegoż obozu. Jego to zasługą jest zorganizowanie „Klubów Książki”, których członkowie otrzymują pełnowartościową beletrystykę w cenie o 50% niższej od rynkowej. Od 15-go października 47 r. członkowie spółdzielni wydawniczej „Czytelnik” nabywają książki z 30 procentowym rabatem. To coś znaczy.

Rzecz prosta, że pisząc te słowa daleki jestem od entuzjasmowania się czytelnikowską polityką wydawniczą czy kolportażem. Jest faktem, że ominięcie sieci księgarskiej wpływa pozytywnie na obniżenie ceny książki. Jest faktem, że kosztem 3 miliardów złotych można by dziś wypuścić na rynek 10 milionów książek, ale to jeszcze nie dowodzi, aby skupienie ruchu wydawniczego w rękach państwa czy spółdzielni kierowanych miało stanowić rozwiązanie idealne. Jedno należy stwierdzić obiektywnie: Nie było w Polsce rządu, który by tyle uwagi poświęcał sprawom kultury co rząd obecny. Najzaciętsze polemiki dotyczące zagadnień realizacji upowszechnienia kultury toczą się na łamach pism lewicowych.

OFENSywa LEWICY

Powody obiektywne, absolutnie bezsporne wyznaczają Turowiczowi i Żółkiewskiemu pewien wspólny odcinek marszrut. Są nimi zrozumienie kryzysu jaki przeżywa w tej chwili demoliberalizm, i niechęć do anarchii kulturalnej jaką pocłaga za sobą holdownia tej koncepcji. Obydwaj są za planowaniem i upowszechnianiem ale na przystanku gdzie się decyduje kto to będzie robił, Turowicz musi wysiać. Turowicz mówi państwo i czynnik społeczny i ma rację, Żółkiewski mówi państwo i ma dowody faktyczne. W

dniu 8 marca br. na zasadzie wytycznych powziętych przez Radę Państwa został powołany do życia Komitet Upowszechnienia Książki w składzie min. Stanisław Skrzeszewski, wicemin. Henryk Jabłoński, posłanka Zofia Naikowska, delegat ministra Kultury i Sztuki, prezes Wici (obecny przewodniczący Naczelnej Rady Młodzieży) Ignar, prezes NIK Henryk Kołodziejcki, wicemin. Leszczycki i prof. Piętkowski. Rada Państwa uznała bowiem za konieczne powołanie organu, którego zadaniem byłoby m. in. opracowanie planów wydawniczych w zakresie akcji upowszechnienia książki przede wszystkim zaś planu na rok 1948/49. Tyle wiemy z komunikatu prasowego. W parę dni po jego ogłoszeniu pojawiła się w naszej prasie wzmianka o entuzjastycznym przyjęciu przez Zarząd Polskiego Towarzystwa Wydawców decyzji Rady Państwa. O planie wydawniczym, jak dotąd ciągle głucho. Ale nie huźmy się. Będzie.

Na marginesie tamtych zdarzeń pisałem przed miesiącem w „Dziś i Jutro”: „Potrzebę planu rozumie dziś każdy myślący obywatel. Panowie wydawcy lepiej by zrobili przed stawiając Komitetowi Upowszechnienia Książki opracowany przez siebie projekt wprowadzenia tej szczytnej idei w życie. Inicjatywa opiniodawcza w tych sprawach winna należeć do społeczeństwa. Komitet wtedy najlepiej wypełni zadanie ciążące na nim, jeśli rolę swą ograniczy do roli nadrzędnego organu wykonawczego, uciekając się do analogii politycznej winien on pełnić jak gdyby rolę rządu wobec parlamentu potrzeb narodowych”. Zdanie to podtrzymuję w całej pełni i jestem w szczęśliwym położeniu od Kotta, bo mój postulat jeszcze może być zrealizowany, a jego z przed trzech lat okazał się tylko pobożnym życzeniem. Kott marzył wtedy: „Plan ten ułożyć musi w oparciu o ministerstwo oświaty szeroka komisja fachowców, która niech nazwie się Radą Książki. Niech

w skład jej wejdą obok wydawców przedstawiciele spółdzielni, czytelnika i jeden profesor szkoły wyższej i literatów”. Ah! zyg, zyg, Panie Janie.

„Szeroka” komisja fachowców liczy 9 członków. Jest jedna literatka i jeden profesor szkoły wyższej (wiceministra Leszczyckiego nie liczę).

Zrozumiałe jest zainteresowanie obozu rządzącego sprawą upowszechnienia kultury i kulturalnego planowania. Walka o rząd dusz nie odbywa się w próżni. Muszą być stworzone odpowiednie ramy ku temu więc właśnie sieć bibliotek, kluby książki, plan wydawniczy. Wszystko to jest w tej chwili w stadium realizacji. Model trójsektorowy obowiązuje, to też nie należy się liczyć z upaństwowieniem ruchu wydawniczego. W trzecim kwartale 1947 r. na inicjatywę prywatną w Polsce przypadało 30 proc. produkcji wydawniczej, na instytucje katolickie 15 proc. Z chwilą kiedy państwo i spółdzielnie wydawnicze zaczną produkować taniej, niż inicjatywa prywatna, ta ostatnia przegra walkę owerem. W naszym systemie gospodarczym, prywatny przedsiębiorca odczuje na własnej skórze „debrodziejstwa” kapitalistycznej konkurencji. Ostatecznie jedynym regulatorem produkcji z chwilą skupienia jej w rękach jednego ośrodka dystrybucyjnego nie będzie prawo popytu i podaży, a po prostu plan. Wydawałoby się, moralnie, a w gruncie rzeczy niebezpiecznie.

POZORY

Jeżeli nawet Państwo nie przejmie całości ruchu wydawniczego to plan daje mu możliwość swobodnego kształtowania tego ruchu. A przecież wiemy co oznacza, konkretnie rzecz biorąc, Państwo; kto je reprezentuje? Rząd. Rząd składa się z ludzi lewicy. „Będą komunizowali społeczeństwo” — wzdychamy ponuro i czujemy się wydani na łup. Złorzeczmy naszej zgodzie na planowanie i jawią się nam w sennych widziadłach czerwonoobluzi dialekty-

cy wykrzywni szyderczo: „Jeżeli powiedzieliście A, musicie powiedzieć B...”

RZECZYWISTOŚĆ

Rzeczywistość nie jest tak jaskrawa, co nie oznacza, aby pobudzała do wesołości. Nie zapominajmy, że mamy do czynienia z przeciwnikiem rozsądnym, nawykłym na tym terenie do liczenia się z obiektywną wymową faktów. Wyniszczenie gospodarcze i zacofanie kulturalne Polski jest faktem, którego oczywistość nie podlega chyba żadnej dyskusji. Nie pytajmy, czy marksiści widzą konieczność wyjścia z tego impasu. Rozmiar przebytej drogi i codzienna obserwacja wykazują, że z dołu w jaki wepchnęła nas (wspomagana przez nas skwapliwie) historia - gramolimy się wspólnie. Nie ważne jest w tej chwili, jak długo będzie trwała ta względna sielanka? Przedtem jednak musi być wykonana pewna suma roboty, której my bez nich, a oni bez nas nie wykonają. Upowszechnienie kultury to b. poważny odcinek tej pracy „zespołowej”. Jeżeli obóz lewicy dopuszcza do namiętych polemik w swoim własnym gronie na temat realizacji upowszechniania to prawdopodobnie nie dlatego, ażeby opozycję przekonać o szczerości swoich intencji. Marksisci „robiący w kulturze” typu Żółkiewski, czy Borejsza dotychczasowymi wynikami swej działalności publicystycznej - wydawniczej dowiedli, że sprawa spuścizny literackiej przeszłości leży im rzeczywiście na sercu i wagę jej należycie doceniają. Czy znaczy to, że wyrażając zgodę, ba domagając się wznowień klasyków literatury wyzekaują się Marksa! Nic podobnego. Rozumieją tylko, że przy swojenie skomplikowanych prawideł dialektyki wymaga dużego zasobu wiedzy i tego minimum uprawy intelektualnej, jaką niesie lektura dzieł klasycznych. I bądźmy pewni przyszy plan wydawniczy uwzględni Homera i Platona przed Engelsem, czy Plechanowem, w każdym zaś razie nie po nich. Reasumując wulgaryzacji w odniesieniu do kulturalnej tradycji nie trzeba się oba-

wiać w planowaniu marksistowskim. Wnioskując z dotychczasowej praktyki wydawniczej i enuncjacji publicystycznych obozu rządowego 60 — 70 proc. produkcji będzie podlegało planowaniu i obejmie właśnie dziedzinę wznowień oraz podręczników szkolnych i uniwersyteckich. Pozostałe 30 — 40 proc. nazwijmy je „luzem kontrolowanym” przeznaczony jest prawdopodobnie na dzieła literatury współczesnej, wydawnictwa religijne i t. p. Oczywiście wszystkie powyższe stwierdzenia mają charakter czystej dedukcji i mogą okazać się zarówno zbyt czarne, jak i zbyt różowe. Zadaniem naszym w konkretnej sytuacji będzie walka o możliwie najszersze ramy dla twórczości spirytualistycznej, oraz o zapewnienie swobodnej emulacji w tychże ramach dla autorów współczesnych, z szczególnym uwzględnieniem narybku pisarskiego.

Tu będą musiały być przyjęte zupełnie różne kryteria, aniżeli w odniesieniu do bezspornych wartości arcydzieł literatury minionej i wydaje mi się, że rola planowania ograniczyć się tu powinna jedynie do wyznaczenia ram dostatecznych, ilościowych dla poszczególnych rodzajów twórczości.

Tak minimalistycznie zarysowany program naszych zadań odznacza się taką zaletą, że może uda się go zrealizować w przeciwnieństwie do wszystkich innych tego typu krojonych na wyrost. Podkreślam, że uwagi te dotyczą jedynie pewnych wskazań praktycznych nie pretendujących do rozstrzygnięcia o meritum sprawy.

— Usiłowania katolików, zmierzające do wpływania na politykę wydawniczą obozu lewicy dzierżącego ster nawy państwowej na pewno nie są mrzonką. Lewica przez fakt sprawowania władzy podlega konkretnie istniejącym koniecznościom, wynikającym z wykonywanej funkcji rządzenia. Zaspakajanie potrzeb duchowych ludności katolickiej na pewno stanowić winno jedną z tych najbardziej ważkich konieczności.

Nik Rostworowski

W ciągu 50 lat ukazało się kilkanaście wydań „Szyfowych prac” Stefana Żeromskiego. Pierwsze wynosiło co najwyżej 2.000 egzemplarzy, ostatnie z roku 1947 dosięgało trzydziestu tysięcy. Wszystkie nakłady dały łącznie — przypuścimy — 100.000 egzemplarzy. Czy to znaczy, że pierwszy wydawca mógł od razu zarzykować druk świetnej powieści w 5 lub 10 tysiącach, „bo to przecież Żeromski”, „z góry można było Marcinkowi Borowiczowi czy Andrzejowi wróżyć taki sukces”, czyli przewidzieć umasowienie utworu?

Nie podobnego! Ten wielotysięczny nakład musiał sobie Żeromski wpiąć wypracować, a nawet wywalczyć. Musiał w nim zdać organom czasu wartości wieczne (na razie pół wiekowe), musiał w tym powodzeniu odegrać niepoślednią rolę, nie tylko wybitny talent autora, ale i praca krytyków, wpływ opinii publicznej, funkcja społeczna utworu, utworzenie mu drogi do szkół, powszedni trud pracownika służącego kulturze — poczynając od drukarza aż do wychowawcy.

Kogo by razia powyzsza myśl, do tego przemówi przykład bliższy, z okresu 20-lecia międzywojennego, kiedy ogromnym z góry poparciem cieszyła się literatura piękna, gloryfikująca aktualne przemiany wojskowo-polityczne oraz ich bohaterów. Chwalono powieści o Komendancie, stanowiące rzekome zamówienia społeczne, ale nikt ich prawie nie czytał, a kto przeczytał — przykładał „Proch” i „Generała Barcza” Kaden - Bandrowskiego, „Wodza” Olechowskiego, „Orlynska Córka” Kaden, „Strępy meldunków” teoż Składkowskiego. „Przedwiośnie” było niewątpliwie w swoim czasie także wyrazem „zamówienia społecznego”, lecz na szczęście nie „ośgórne”!

Zmierzamy tutaj do wykazania i uchwycenia wyraźnej różnicy między prawdziwą poczytnością, która jest głównym celem umasowienia książki, a pozorami rozpowszechnienia wartości duchowych.

Antoni Trepieński

O książkach dla szerokich mas

niśława Ostoi - Chrostowskiego do Lepeckiego „Józef Piłsudski na Sverberii” nie podniosły wcale poczytności tekstu dzieła. Zorganizowane najbardziej nowoczesnie sieci kolportażowe, rozprowadzające „gładko” tysiące egzemplarzy „Kroniki Ilustrowanej Legionów”, „Mojej służby w brygadzie” Sławoja Składkowskiego, „Dziennika z Legionów”, gen. Kasprzycykiego itd. — nie miały wpływu na to, by dzieła te rzeczywiście czytano od deski do deski, by przenikały między lud, by domagano się ich w czytelnich, by zostały na serio upowszechnione po linii jakichś postulatów oświatowych, mogących dorównać roli społecznej „Szyfowych prac” lub „Przedwiośnia”. Nawet tania cena 30-tysięcznego nakładu pism zbiorowych Józefa Piłsudskiego nie wpłynęła na to, by większość subskrybowanych egzemplarzy została rzeczywiście rozcieta jak chociażby znacznie droższe książki: „Ścieżka obok drogi”, która nie cieszyła się żadną protekcją i miała bardzo złą prasę, albo pikantne „Strępy meldunków” teoż Składkowskiego. „Przedwiośnie” było niewątpliwie w swoim czasie także wyrazem „zamówienia społecznego”, lecz na szczęście nie „ośgórne”!

Zmierzamy tutaj do wykazania i uchwycenia wyraźnej różnicy między prawdziwą poczytnością, która jest głównym celem umasowienia książki, a pozorami rozpowszechnienia wartości duchowych.

Jeżeli ktoś przypuszcza, że najlepszym sposobem uspołecznienia książ-

ki, pożądanej ze stanowiska interesu publicznego — jest wydrukowanie jej w nadmiernej ilości egzemplarzy — to się myli, mając zbyt naiwne mniemanie o czytelnikach, których pragnie sobie zjednać. Na dobitek błędzi, jeśli poprzestaje na trzymaniu wydrukowanej w nadmiarze egzemplarzy w magazynach, nie licząc się zupełnie z masowymi zwrotami druków powierzonych do komisowej sprzedaży.

Zawiedzie się srodze, kto sądzi, że wystarczy sprytnie rozkolportować „jakakolwiek” książkę, aby była czytana, a jeszcze więcej myli się, kto przy puszcza, że rozsprzedana całkowicie wedle „nowoczesnych metod” spotkała się z nieklamany uznaniem.

Rozczaruje się, kto sądzi, że wystarczy „zorganizować dobrą prasę”, aby ofiary przesadnej reklamy potwierdziły sukces jakiejś nowości wydawniczej.

Niezawodnie środki techniczne mogą w olbrzymiej mierze przyczynić się do czasowego opanowania rynku wydawniczego. Nie decydują jednak wyłącznie o podboju czytelników, o pogłębieniu czytelnictwa, o rzeczywistym umasowieniu książki. Musi ona nade wszystko odpowiadać intuicyjnie wyczuty potrzebom najszerzych mas, co bynajmniej nie zostanie nigdy sprawą wtórną, przy najbardziej umiejętnej organizacji środków.

Na odwrót również prawdziwe walory treściowe nie decydują samowładnie o podboju publiczności. Winny iść w parze z należytą obsługą infor-

macyjną, z akcją uświadamiającą i techniką kolportażową.

W tym się mieści sedno zagadnienia: jakie książki mają istotne szanse podboju, jakie odznaczają się owymi prawdziwymi, tak trudnymi do ustalenia i spornymi walorami.

Życie mówi głosem starego praktyka:

— „Do produkcji masowej nadaje się książka, która już przeszła próbę wieków, a więc taka, która może na produkcję masową liczyć wyjątkowo — czy to jest Sienkiewicz, którego będą czytać setki, tysiące, czy to Mickiewicz, czy Żeromski, ale ci autorowie swoją próbę przeszli. Natomiast do produkcji masowej nie nadawał się ten sam Żeromski w swoich pierwszych dziełach; do produkcji masowej nie nadawała się Maria Konopnicka, że przytoczę fakt autentyczny, iż pierwsze wydanie Konopnickiej „O Krasnoludkach i sierotce Marysi”, wydane w ilości 2.000 egzemplarzy, rozchodziło się u nas przez siedem lat!” (przemówienie Stanisława Arcta na temat „Drog upowszechnienia książki”, — Przegląd Księgarski, 1948, nr 1 — 3). Nie kwalifikowała się do masowej produkcji jakakolwiek dobra książka, to znaczy, że odbiorca nie został jeszcze do niej przekonany i przygotowany. Nie zdała swego egzaminu z praw specjalnych do biblioteki ludowej, młodzieżowej, najpopularniejszej.

— „Do produkcji masowej nadaje się tylko książka nadzwyczajna, wyborowa, z tym, że ta książka wyboro-

wa staje się po pewnym czasie książką drukowaną w setkach i milionach egzemplarzy”.

Zbyt różowo wyobraża sobie dzisiejszy pisarz drogę do czytelników, jeśli, duży w swój talent, sądzi, że zdobędzie sobie poczytność dzięki samemu dorywczo zbieranym laurów, a nie ciągłej pracy zespolonej ściśle ze społeczeństwem. Pracuje ono razem z nim nad popularyzowaniem jego dzieł, pracuje nad tym nadal po jego śmierci, to też ważyć będzie sumienie ich znaczenie.

„W każdej bibliotece jest sporo książek, których nikt nie chce czytać i o których nie chce słyszeć wcale”. Przekonał się o tym mówca, zwie dziesięć wieków przeszło 40 placówek oświatowych na Pomorzu. „Nie tylko księgarnie odwiedzałem — powiedział Stanisław Arct — ale i wypożyczalnie i biblioteki szkolne. Otóż napotkałem bardzo dziwny objaw: przychodzę do wypożyczalni miejskiej; w danej miejscowości jest to jedyne miejsce, gdzie można książkę wypożyczyć, nie ma tam żadnej prywatnej wypożyczalni, no i czeka kilka dziesiąt osób na książki. — Proszę taką książkę. — Nie ma! — Proszę inną książkę. — Nie ma! — Proszę jeszcze inną. — Jest w czytaniu jeden egzemplarz. — Natarczywe głosy domagają się książek, ale tych żądanych — nie ma. A tymczasem na stole leży stos książek, które niedawno przyszły, skądś przydzielone, jednakże tego nie czytają”.

— „I w tym jest cała tragedia tej historii i właśnie tu jest pewna luka w planowaniu w stosunku do chęci czytelników”.

Oby abonent przyszłych bibliotek minnych otrzymywał to, czego sobie życzył! Kiedy już zostanie cennym odbiorcą, żądającym samorzutnie określonych rzeczy...

WIERSZE POWSTAŃCZE POSZUKUJĄ AUTORA

W kraju...

Jeden z czytelników „Przemarszu przez piekło” nadesłał mi kilka bardzo zniszczonych i pomiętych kartek, zapisanych drobnym ręcznym piśmem. Zawierały one dwa dłuższe powstańcze wiersze: „Stare Miasto” i „Fort Czerniakowski”. Znalaziono je przy bezimiennym powstańcu w czasie eks-humacji w Śródmieściu.

Ow Czytelnik zapytywał mnie czy nie mógłbym ustalić autora tych wierszy.

Były mi one znane. Słyszałem je wielokrotnie w czasie pobytu w Oflagach w Niemczech i po uwolnieniu nas przez aliantów. Bywały one przedrukowywane w pismach obozowych i oddziałowych, deklamowane na uroczystych akademiach, a wiersz „Stare Miasto” był nawet inscenizowany.

O ile dzisiaj sobie mogę przypomnieć, to na terenie Anglii „wystawiał” go Ziemowit Karpiński. Widziałem całe serie ilustracji do tego wiersza, wykonanych przez plut-podchor. Tadeusza Kubalskiego, świetnie zapowiadającego się rysownika, przebywającego ostatnio w Belgii.

Dotąd nie udało mi się ustalić autora tych wierszy, choć czyniłem starania. Zawsze podawano mi kogoś innego.

Jedno z pism polskich w Niemczech, strona brytyjska, podawało nawet, że autorem wiersza „Stare Miasto” jest Jan Lechoń, świetny poeta, który miał go napisać w Stanach Zjednoczonych A. P. i ogłosić w „Tygodniku Polskim”.

Wiersza tego nie udało mi się znaleźć w żadnym jego zbiorze poezji.

Wielu innych przypisywało autorstwo Rudemu — Zbigniewowi Jasnińskiemu, poecie-maryniście, autorowi najbardziej znanych powstańczych wierszy: „Żądamy amunicji”, „Odmarwiamy” i „Sierpień”.

Wydaje mi się dlatego, że w tym wierszu są akcenty, znane w powstańczych poezjach Rudego: „Tu zępy mamy wilcze!”, „A wy tam wciąż śpiewacie z kurzem krwi bratniej, że z dymem pożarów niszczejcie Warszawę”, „Czemu żalobny chorał śpiewacie wciąż w Warszawie, gdy tu nadeszło wreszcie oczekiwane święto”.

Najwidoczniej musiało to dojść do Rudego, skoro ogłosił w jednym z pism polskich w Paryżu, bodaj w 1945 r., że wiersze „Stare Miasto” i „Ostatni komunikat” nie są jego wierszami, a w czasie powstania napisał tylko trzy wiersze, powyżej wymienione.

Ktoś inny wyrażał przypuszczenie, że autorem tego wiersza jest podchor. Ziutek, poeta-żołnierz, z kompanii por. Chałubińskiego, ze zgrupowania „Leśnik”, który poległ w dniu 27 sierpnia 1944 roku w gmachu Państwowej Wytwórni Papierów Wartościowych od bomby lotniczej.

Lecz to przypuszczenie jest wykluczone, gdyż odwrót kanałami ze Starówki do Śródmieścia trwał od dnia 31 sierpnia do 2 września rano.

Z treści wiersza „Stare Miasto” widać, że sam jego autor nie brał udziału w tym odwrócie kanałami, je-

dynym w dziejach wojen, a tylko patrzył z bliska w Śródmieściu na ten tragiczny egzodus.

„Szli w naszym milczeniu jak w Święcie Żaloby”.

Wiersz jest utrzymany w rytmie marsza żalobnego i dopiero w ostatnich strofkach gubi ten rytm i przechodzi w akordy chorału.

Drugi wiersz „Fort Czerniakowski” nie miał takiego rozgłosu.

Nie jestem w stanie przedstawić zdarzenia, na jakim został osnuty. Nie wydaje mi się, aby mógł być tego samego autora.

Byłoby bardzo ciekawe i pożyteczne, gdyby udało się ustalić, jakie poezje zdążyli napisać w czasie tych tragicznych dni powstania młodzi poeci, zwłaszcza ci, którzy padli śmiercią żołnierza, że choćby wspomnieć sanitariuszkę Krystynę Krachelską, łączniczkę Agnieszkę (Jagodę) Strynkiewiczównę, podchorążych: Krzysztofa Baczyńskiego, Karola Topornickiego, Marka Chmure, Wojtkę Janowicza (Mencel), czy też zmarłą tuż po powstaniu: Teresę Bogusławską.

Myszę, że nim ktoś podejmie się wdzięcznego trudu zebrania powstańczych poezji, rozsianych w powstańczych prasie, w pamiętnikach, w archiwach, znajdujące się w odpisach i autografach, należałoby najpierw ustalić autorów wielu poezji.

Choćby tylko dlatego, aby oddać hold poległym towarzyszom broni.

Stanisław Podlewski

Stare Miasto

Szli, szli, szli, zgarbieni, zbloceni, we krwi.
Przez wieczór bez końca, wśród nocy bez końca,
Sunęła, sunęła gromada milcząca,
O mury, o asfalt trącały kikuty,
Gubiły rytm buty, gubiły rytm buty,
Szli, szli, szli...

A w twarze czerniały z zadłym chichotem
Noc pluła żelazem, gruzami i błotem,
I szli tak od gruzów do gruzów kamienic
Cieniami olbrzymów w wichurze płomieni,
Nie rzędem, kolumną —

Gromadą bezładną

Szli, którzy zostali, szli, którzy tu padną,
Z junactwem bolesnym jak hardym wyzwaniem
Od śmierci do śmierci — lecz ramię o ramię.

Szli w naszym milczeniu jak w Święcie Żaloby
Noc biała otwierała pod nimi się grobem,
Szli z szanica, co ostał się jeno w legendzie —
Co będzie, to będzie, co będzie, to będzie!
Butgrzędnie w asfalcie zorany pociskiem,
I jedno nam niebo, w płomieniach, jest bliskie,
I jedno nam dymy, pożarne, pożarne,
I jedna nam wolność, wśród ciszy cmentarnej...

Szli, szli, szli...

Wiatr niósł im nad głową, wiatr huczał w płomieniach,
Ze było, że padło, że dzisiaj już nie ma!
Na gruzach Starówki brzask przetnie jak nóż
Trzydzieści dwie doby i krzyknie, że już!
Ze padło, że odwrót, że idą i idą
Zgarbieni, zbloceni, z oczami wpadłymi,
Schyleni do ziemi, do ziemi, do ziemi...

Gdy rozkaz — to trzeba, choć serce skowyczy.
W rozkazie się serca żołnierza nie liczył!

Szli, szli, szli...

A tam nie zostało nic oprócz rumowisk...
Odeszli z stanowisk. Odechodzą z stanowisk!!!
Strop zgłębny w płomieniach i w grozie i w krzykach
But w krwawym pochodzie utyka, utyka...

Za mił tysiącem huczne brawa.
Saluty! Sława. Sława! Sława!
Dłonie złożone do oklasków —
Znów Serce Świata tonie w blasku,
Z dymem Pożarów dom ostatni,
I dech ostatni! Jęk ostatni!!!
Żołnierzu! Żeby wilcze zatnij
I przez ulice spłomienione — mazeruj!
Londyn, Paryż, New-York,
Surmy w Brukseli, Amsterdamsie
Grają ci dzisiaj na konanie
— Pod Twą Obronę —

Na asfalcie kikut utyka w żywej ranie.
Grają ci bracie na konanie, więc — Ramię w ramię!

Fort Czerniakowski

Było ich dwustu w forcie karamatach
A obok tego 10-cekaemów i jedna armata.

I byli bogu zaprzędani swemu
Imię miał groźne, jak błyskawica tęcza;

Głos huczny echem gromowych wystrzałów,
Chłód pancernymi krokami bił, jęcząc wściekłą nawałą.
Gdzieś blisko słońce blaski złote kładło na białe wille ulice Czerniakowa
Przez pola biegly okopy piechoty —

W dzień błękitem, płynęły mocą stalowe bombowce aż nad Śródmieście,
Noc miasto kryła w krąg czerni pokrowcem, który rozbliski stalowe pomieścił

Fort, fort na forcie, fortem trzęsły strzały

Stukot kul długi niósł się ku wrogowi
A śmierć dzierżyła całun chłodny, biały
I przyjsć (do ataku), aby fort nim spowić.
I przyszedł atak na flanki i łącznik

Ostatni przypadek do fortu przez kule.
Raport dowódcy, i meldunek i... spocznij.
Twarze poblady — zginąć? Czy też ulec?
Fort już odcięty! Biją wraże ognie

Pną się pionierzy, ka-emy hynn grają, ięczą bombowce;
— Zdobyć albo rozgnieść, jeśli obrońcy poddania nie znają
Krzyk, wrzask rozpaczy, beton, piasek, kości lecą ku górze
Pół fortu w powietrze.

Prysnął dynamit!
Żywi w zaciełości: kontratak?
Cisza, ból i rozpacz zatrze
Przypadli w rowach do wilgotnej ziemi

Pewnie deszcz padał wieczorem.
Jak dawno słońca nie brali oczami swoimi
Pieszczotą świętą, gorącą i jasną.
— Lecz oto biegnie przeciw tyraliera

W głębokich hełmach, z granatami w dłoni
Ognia! Raz przecież tylko się umiera
A śmierć jest cudna za chwałą w pogoni...
Zegnaj Warezawo krwawiąca potęgą

Zegnaj dziewczyno co giniesz w piwnicy!
Zegnaj triumf! Płacimy dziś kłęski rachunek śmierci bladoliciej.
Więc bagnet na broń!!!
Grajcie k-emy Grzmij srawo w granatach
Na bój ostatni idziemy z ochotą!!!
Z okopów wstaje szaleńczy kontratak.

11 kwietnia w całym kraju odbyły się uroczystości inaugurujące Tydzień Ziem Odzyskanych. Najokazalsza z nich miała miejsce w Wałbrzychu, gdzie obszerne przemówienie wygłosił wicepremier Gomółka. Wskazał on m. in. na fakt, iż ze 193 miliardów złotych, jakie obejmuje Państwowy Plan Inwestycyjny na rok bieżący, 65 miliardów przypada na Ziemię Odzyskaną. Świadczy to najwymowniej, jaką wagę przywiązujemy do sprawy zagospodarowania i scalenia z Macierzą naszych Ziem Zachodnich 5 milionów Polaków zamieszkujących zachodnie połacie i wzmagający się dnia na dzień potencjał gospodarczy Ziem Odzyskanych to jest nasz podstawowy kontrargument na rozszere-nia rewindykacyjne Niemców i ich po-pleczników. I ta polityka, polityka faktów dokonanych będzie respektowana, bo musi być respektowana. Cierpiętnicze powoływania się na krzywdy wyrządzone nam przez Niemców i na historię tych ziem na pewno nie wzruszy Zachodu. W wojnie minionej na 100 Polaków — 22 poległo lub ginęło w obozach. Straty amerykańskie przedstawiają się jak 2 do 1.000. Nic dziwnego, że na problem niemiecki jesteśmy bardziej uczuleni niż Anglosasi.

NAGRODA „DZS i JUTRO”.

Między 25 kwietnia a 2 maja za-padnie wyrok jury przyznający Nagrodę im. Włodzimierza Pietrzaka trzem autorom za najlepsze wyniki osiągnięte w dziedzinie katolickiej twórczości naukowej, literackiej i pu-blicystycznej. Będzie to pierwsza na-groda tego typu przyznana za ka-tolicką twórczość w okresie powo-jennym. Dumni z inicjatywy nie ro-snimy jretensji do wyłączości i naj-większym naszym pragnieniem jest, ażeby akcja jaką zapoczątkowuje-my znalazła naśladowców. Nagroda im. Włodzimierza Pietrzaka nie mo-że być uważana za rodzaj premii dla najbardziej katolickiego pisarza, lub za wyróżnienie najbardziej ka-tolickiego dzieła. Katolicka jest platforma, wybór zaś będzie doko-nany na podstawie kryteriów obiek-tywnych, właściwych dla danego rodzaju twórczości.

PIĄTA ROCZNICA OBRONY GETTA

W nocy z 18 na 19 kwietnia 1943 roku rozegrał się ostatnio akt tragedii getta warszawskiego. Trzecia z kolei podjęta przez Niemców na wielką skalę akcja likwidacyjna na-poiła tym razem na zbrojny opór Żydowskiej Organizacji Bojowej. W czasie pierwszej akcji ekstermi-nacyjnej w lipcu 1942, po której zo-stało w ghetcie 60 tys. ludzi. Żydzi nie stawiali oporu. Zdecydowali się nań w styczniu 1943. Opór styczniowy dał nieoczekiwane rezultaty. Niemcy wyczołali się wówczas, by przez 6 tygodni przygotowywać dzie-ło likwidacji ostatecznej. Te 6 ty-godni umożliwiło Żydom warszaw-skim zmontować obronę, która po-zwoliła im stawiać Niemcom opór z bronią w rękę w ciągu 20 dni.

8 maja Niemcy otoczyli główny schron organizacji, gdzie znalazła się większość jej członków z kome-dantem Mordchajem Anielewiczem. 80 ludzi uszło wtedy z getta. Zgi-nęli jednak oni prawie wszyscy. W ghetcie pozostały dwie grupy bojo-we, które walczyły jeszcze przez długie tygodnie, jednak nie udało się z nimi nawiązać żadnego kontaktu.

„VERITAS” Sp. z o. o.
W-wa, ul. Nowogrodzka 49, I p.

poleca:

dewocjonalia, święce
i wydawnictwa kościelne

Gdy chodzi o powieść może nie tyle, gdy chodzi o powieść, dwudzieste lecie minione rozpatrywane być musi jako okres, zamykający poprzedni okres politycznego rozbitcia. W pewnym sensie dwudzieste stulecie zaczyna się w Polsce po roku 1918. Nie mniej wyraźnie w dziedzinie społecznej i ekonomicznej, jak w dziedzinie uprawy umysłowej. W sferze literatury u progu tego okresu stoi Żeromski z „Przedwiośniem” i „Wiatrem od morza”, ten o którym Brzozowski napisał, że jest jak niewolnik, śpiewający na murach zwałonego Iliou. — u końca pokolenie nowych, młodych pisarzy, którzy nie zdążyli wydać wtedy więcej nad jedną lub dwie książki. W nowym pokoleniu pisarskim spotyka się problemy, wyrosłe z nowych warunków ówczesnej polskiej i europejskiej rzeczywistości. Ale nikt z tego pokolenia, zarówno jak z pokolenia poprzedniego, urodzonego i wychowanego przed wojną 1914 r., nie daje żadnej wielkiej propozycji myślowej i moralnej, nie daje tego, co może dawać literatura: koncepcji życia, koncepcji kultury, koncepcji, wykraczającej poza świat jednostki.

Zasadniczym zagadnieniem kultury jest człowiek — i to uświadomienie zdaje się przekać do głębi twórczość literacką dwudziestolecia. Rozpatrując jednostkę jako samowystarczalną monadę, nigdy jej nie zrozumiemy. Rozumiemy człowieka dopiero w żywiole środowiska. Zbiorowość jest nie tylko kręgiem zainteresowań i warunków, nie tylko sposobem, w jaki człowiek przeżywa swój czwarty wymiar czasu — jest faktem kulturalnym. Człowiek jako jednostka nie kształtuje działań społecznych, tak samo, jak nie pojedyncza kropla wody określa kierunek nurtu. Działanie społeczne jest zawsze wynikiem starć tendencji społecznych obrazem zwycięskiej ideologii. Nie wystarczy więc kusić się o psychologiczne portrety pisarzy, trzeba odnieść ich do środowiska, z którego wyszli i do tradycji kulturalnej, którą odziedziczyli. Ideologia rodzi się w grupie społecznej jako wyraz jej potrzeb i przez te potrzeby jako dążenie do określonych celów. Z innej strony, dialektyka idei nie daje obrazu niezłomnych praw, które wystarczy poznać, aby rozumieć bądź nawet przepowiadać bieg historii. Tego rodzaju pojmowanie socjologii, tworzące z niej teodycę, jak najbardziej mija się z prawdą.

Rozwój człowieka odbywa się odtań przez walkę z przyrodą, odrębnym humanistycznym torem. Konieczności zostaje przeciwstawiona wolność jako przejaw sił duchowych. Terenem tego przeciwstawienia stał się związek społeczny, naród, klasa, a nigdy jakieś anonimowe środowisko. Chodzi o zdanie sobie sprawy, że życie, przez które człowiek przechodzi, ma swoją barwę, swój kolor — zmienny w epokach, uwarunkowany głęboko. Człowiek, tworzący własne dzieje, nie jest bezimienny. Analiza jako metoda jest słuszną tam, gdzie podkopuje istnienie przesądu, gdzie obala niekontrolowane fetysze. Zawodzi, gdy hamuje zdolność działania, gdy sama dla siebie staje się celem, gdy — wreszcie — stwarza mit myśli od życia niezależnej. Ten mit uniemożliwia poznanie prawdy, bo podkreśla zewnętrzny charakter życia społecznego, bo życie widzi jako pustynię, w której błąka się człowiek, nieszczęsna „naga dusza”. Taka analiza hipnotyzuje siebie maskaradami i jałowicie w końcu w próżni.

Taką postawę duchową uważał Brzozowski w „Legendzie Młodej Polski” i w „Głosach wśród nocy” z jedną z najjadliwszych form oświeconego barbarzyństwa: uznawanie kultury jako gotowego wyniku, za który się nie ponosi odpowiedzialności, nagromadzenie na jednej płaszczyźnie myśli różnych epok. Tragedią autora „Legendy” stało się, że jego spadek, niemożliwy do realizacji w okresie lat 1914 — 1920, po woj-

natrafił na zasadniczy konflikt tego czasu, konflikt szkół Dmowskiego i Piłsudskiego. Obóz Dmowskiego odnosił się do Brzozowskiego z nieufnością i traktował jego spadek jako dziecko z innej kołyski. Obóz pomajowy dość długo nie odczuwał potrzeby związania się wspólną ideową świadomością. Po r. 1935 recepcja Brzozowskiego w całości dla nikogo w Polsce już nie była możliwa. Sporo z jego poglądów, tych zwłaszcza, które pochodziły od Sorela, okrężną drogą, przez wpływ zagranicy, przenikało w obieg codzienny jak zwykle w takich razach w standardowym i niepowiązanym wydaniu, w formie raczej zawołań czy hasel.

Nie tu jest bezwątpienia miejsce na wyczerpanie obecnego stosunku do Brzozowskiego. Jego rola wychowawcza wciąż się wydaje aktualna, przynajmniej w części, zawierającej krytykę kulturalnej świadomości. W części pozytywnej szeregu poglądów Brzozowskiego, z jego wiarą w czyn i w moc na czele, przeszło przez bankructwo i musi być opatrzone naklejką: uwaga, zbliżać się do tych miejsc krytycznie. Nie można jednak Brzozowskiego pomijać, gdy rozpatruje się kulturalne oblicze polskiego wieku XIX: odgrzywa on dla nas tę mniej więcej rolę, co w swoim czasie dla Anglii Carlyle. Jeżeli jednak Spencer w swojej „Autobiografii” skarży się, że Carlyle był przez jej potrzebę wieszczona i przeklinała jednocześnie, że codziennie szukał nowego celu dla swoich przekleństw, to Brzozowski inny styl na myśl przychodzi: jego dar profetyczny, którego patos dziś może nawet razić, jest skierowany przeciw pomnikom, przeciw patynom, którymi porosły. Brzozowski był rewizjonistą w wielkim stylu. Burząc, wskazywał jednak nowe wartości, z poza tynków małowartościowych fresków, z poza tynku wygodnego stosunku do kultury — dobywał nowe zasady powinności, nową koncepcję wielkości.

Podstawą rozumowania o historii jest dla Brzozowskiego uznanie faktu, że prymat grupy społecznej, kierującej życiem organizmu narodowego, jest uzasadniony tak długo, jak długo czynności, związane z życiem tej grupy, budzą entuzjazm i dają motoryczną siłę nowemu działaniu, przetwarzającemu świat. Grupa społeczna przeżywa się, razem ze swą ideologią, gdy czynności, związane z tą grupą, nie są już uznawane za wartościowe ani w pojęciu innych grup, ani w końcu w pojęciu samej grupy. Stanowią one teraz rodzaj nałogu, są wykonywane przez ludzi, nie sprawdzających swego postępowania, nie dbających o etyczne uzasadnienie własnej działalności. Poczucie moralne, przekonanie o wartości świata, może się odrzucić z nadejściem do steru nowej grupy społecznej, o ile nowa grupa będzie rozporządzać techniczną skalą umiejętności wykonywania funkcji kierowniczej i świeżą, nową ideologią społeczną.

To jest źródło apelu „Legendy” do polskiej inteligencji. Brzozowski nie widzi poza inteligencją innej siły społecznej w Polsce, która by mogła kierownictwo narodowe sprawować. Tym silniej, na tle przemysłów, przeprowadzonych w „Ideach” o istocie rewolucji społecznej, domaga się od inteligencji, aby zdobyła się na czyn i poprzez heroizm czynu objęła ster wydarzeń.

Idąc po linii, wytkniętej w książce Piotra Laserre „Romantisme français”, Brzozowski padł ofiarą niewątpliwego złudzenia, gdy chodzi o romantyzm w jego zachodnio-europejskiej postaci. Dla Lessere’a źródłem postawy romantycznej była pewna postawa duchowa, związana z dziełami Rousseau: przeciwieństwo między jednostką a społeczeństwem, fałszywość cywilizacji, uprawnienie i słusność uczucia, możliwość szczęścia w naturze, zepsuta przez prawo i instytucje — te zawołania romantyczne,

Włodzimierz Pietrzak

DROGI POLSKIEJ

ujęte w formę emfazy i egzaltacji, mają dla Laserre’a naturę psychologicznego konfliktu. Historia romantyzmu zaczyna się od historii Jean Jacques Rousseau, t. zn. od historii człowieka, który najbardziej banalnym swoim doświadczeniem nadaje piętno osobliwości, który nie uznaje i znać nie chce swoich porażek w starciu z rzeczywistością i wysuwa przeciw niej prawo uczuć, jako prawo wyższe Człowieka, który jest zdziwiony każdym drgnięciem swojej duszy i skłonny jest w niej widzieć zjawisko najbardziej godnie podziwu we wszystkich czasach. Rany zewnętrzne życia stworzone przez cywilizację, nieczuła i nieskłonna do podziwiania tej duszy, przeszkadzają ludzkiemu szczęściu. Emfaza romantyczna jako rozszerzenie retorycznej formy stylu pompacyjnego, znanego już przed „Nową Heloizą” powiększyła wymiar tego konfliktu między jednostką a otoczeniem. Generacja romantyczna 1830 r. odziedziczyła po Rousseau, zdaniem Laserre’a, nie tylko optymizm chimeryczny o dobroci nieskazanej cywilizacji natury ludzkiej, lecz i ogólny jego błąd optyczny, wyolbrzymienie konfliktu.

Błąd Laserre’a zdaje się leżeć w jednostronności psychologicznego traktowania sprawy. Na modelu klasycznym umysłowości preparat krytyczny Laserre’a jest słuszny. Biografia nawet całej generacji twórców tu jednak nie wystarcza, bo romantyzm jest czymś, co należy do ogólnej świadomości epoki. Czy romantycy nie wnieśli nic nowego poza Rousseau? Można raczej postawić inaczej to pytanie: czy istotnie źródła romantyzmu francuskiego dadzą się ograniczyć do Rousseau? Niewątpliwie — nie. Podstawowe wytyczne literackiej romantycznej rewolucji przeszły do Francji z niemieckiej die Romantik, przede wszystkim jako uznanie niezależności smaku od obcych wzorów pseudoklasycznych i jako nawiązanie do własnej tradycji, narodowej, do tradycji średniowiecza. „Goethe von Berlichingen” Goethe’go i powieści Sir Walter Scotta wskazywały tę drogę.

Jednakże, jako treść świadomości kulturalnej jest romantyzm na Zachodzie czymś więcej i czymś mniej: jest rewolucją przeciw tradycji, jest próbą pochłonięcia i zorganizowania zdobyczy społecznych i umysłowych rewolucji francuskiej. Bunt przeciw rozumowi, przeciw myśli logicznej jako zasadniczemu tworzywemu idei — jak trafnie formułuje Renouvier w studium „Victor Hugo, le poète” nie objął właściwie innych dziedzin życia umysłowego, jak sfery poezji. Na poparcie tej tezy dość wskazać na przykład Hegla, dla którego świat przedstawia się jako bezwzględny rozum, rozum jako istota świata. Gdzie się kończy myśl Hegla w generacji romantycznej — trudno by było oznaczyć.

Nim można się będzie zająć polskimi formami romantyzmu, jeszcze jedno zagadnienie należałoby postawić. Niewątpliwie, odzyskanie politycznej niepodległości nie ziszcilo tych nadziei na rozwój twórczości literackiej, które kołatały się wśród Polaków z przed wojny 1914 r. Odzyskanie niepodległości miało przynieść wielką literaturę koncepcji i rozstrzygnięć. Nadzieje te okazały się utopią o szklanych domach. W literaturze dwudziestolecia dogasa co prawda kontynuacja prądów XIX stulecia, ale jaskrawo wybija się niesamodzielność powieści polskiej w stosunku do sztuki europejskiej, lęk przed dojrzeniem człowieka na tle jego rzeczywistego środowiska. Autor lubi się zamykać z postaciami literackimi w pokoju, w którym pisze. To był ten wspólny pokój. Analiza psychologicz-

na jednostki, odciętej od środowiska, może pretendować do estetyczne nieomyślności. Tu, w tym pokoju, pisarz jest papieżem. Bronią go estetyczne pseudodogmaty.

Da się niewątpliwie wysledzić i ustalić nieufność tego okresu wobec zbiorowości, zwłaszcza wobec tej formy zbiorowego życia, jaką jest państwo z „Wyzwolenia”, na które czekało przecież lat 150. Może ktoś powie, że wielka sztuka rozwija się innymi liniami i że zagadnienia państwa wielu wielkich pisarzy w ciągu swej twórczości nie spotyka — ani Conrad, ani Hamsun, ani Flaubert, ani inni francuscy pisarze. Zarzut ten byłby połowicznie słuszny, a w całości jest sztuczny. Nie chodzi o persyflaż o ludziach z polityki jak „Mateusz Bigła”, ani o ciąg dalszy Wyspiańskiego. Idzie jednak o stwierdzenie, że rok 1918 był w życiu polskim ważnym przełomem, tej wagi co najmniej co dla Francuzów rok 1789. Jest naturalne, że bezpośrednio po r. 1918 nie zerwały się wichry literackie, może jednak dziwić, że gdy około r. 1930—35 literatura wyraźnie już odpoczęła i gdy produkcja literacka tego okresu tak wielką zaznaczyła się różnorodnością, przewagę zyskiwać zaczęły powieści — mity, powieści o psychologicznym pseudonimie i dopiero kilka ostatnich lat przed wojną ukazywało słaby zaczątek reakcji.

Przyczyny tej nieufności wobec życia historycznego leżą głęboko. Podstawowym typem myśli ludzkiej jest prawo. Przez więcej niż stulecie ta dziedzina twórczości była dla Polaków zamknięta. Społeczeństwo przyzwyczaiło się w formach prawa publicznego, a więc w państwie, upatrywać czynnik narzuconego przymusu, czynnik konieczności. Romantyzm^{*)} utwierdził przekonanie, że prawo istniejące, pozytywne — jest wynikiem przemocy. Doktryna o szkodliwym i bezdusznym prawodawcy, podjęta przez Rousseau, na specjalne u nas trafiła warunki: odpowiedzialna za losy narodu w w. XVIII warstwa szlachecka ugięła się przed przemocą siły. Prawo narodów w r. 1815 dało swą sankcję rozbiorem. Romantyzm działał jako „pokrzepienie serc” i przeprowadzał psycho - moralną sublimację rzeczywistości. Nie mogąc rozegrać kampanii o Polskę w sferze historii, traktował duch szlachecki swoją klęskę jako akt niesprawiedliwej krzywdy. Powstawała wiara w nadejście epoki sprawiedliwej, kiedy nie siła dziejowego działania, związana z gospodarczo - społecznym podłożem, lecz etyczna doskonałość będzie rozstrzygać. Romantyzm polski z idei cierpienia tworzy kanon przyszłej epoki. Goethe ukazał estetyczne znaczenie mity, polski mit romantyczny w literaturze — i poza literaturą — stał się transpozycją i rozszerzeniem znaczenia cierpienia, Eloe, zdradzona z łyż litosnej Chrystusa, z de Vigny’ego, objęła tron w polskiej twórczości romantycznej. Emigracja, oderwana od codziennych procesów społecznych kraju, została z cierpieniem sam na sam. Naród żyje w historii i w twórczości kulturalnej. Bunt przeciw rozumowi, który na Zachodzie nie odniósł zwycięstwa poza opłotkami literatury, w polskich warunkach osiągnął triumf w poezji, osiągnął triumf całkowity. Teraz poezja stawia się myślą, a cierpienie stawało się problemem nie tylko przed emigracją, lecz przed całym narodem: o ile by się pod cierpieniem załamał, zginałby, nie doczekawszy lepszej przyszłości. Czyniąc z cierpienia próbę

moralną przez poświęcenie i wyrzeczenie, dała literatura romantyczna narodowi środek ratunku przed zagładą, lecz i formę świadomości kulturalnej. Jako narzędzie politycznego przetrwania zbawienny, na cierpieniu oparty mit kulturalny nie mógł na długo wystarczyć narodowi, który bronił się przed grobem, lecz i przed ograniczeniem życia.

W mroźnym milczeniu lat najbliższych po załamaniu się 1863 r. rosło przeświadczenie, że cierpienie nawet heroiczne nie tworzy warunków zwycięstwa i nie wystarcza jako czynnik, łączący naród w polityczną koncepcję. Załamanie się powstań i rozwój przemysłu, w kraju oraz reformy włościańskie przyspieszyły powoli się posuwający proces likwidacji warstwy szlacheckiej. W pierwszej połowie XIX w. wielka rewolucja przemysłowa, która stanowiła pole doświadczeń Marksa i Engelsa, ograniczyła się właściwie do Anglii. Pojęcie przemysłową Niemiec na wielką skalę tworzy dopiero Bismarck po r. 1870. Bismarck rozporządzał pomocą finansową, politycy polscy po r. 1863 liczyć musieli na walor swego intelektualnego apelu. W kraju tworzył się nowy typ świadomości panującej, oparty na warstwie mieszczańskiej. Literatura z roli świadomości kierującej przeszła na charakter służebny: miała pomagać, miała być doradcą, nawet nauczycielem.

Mieszczaństwo polskie stanowi formację dość wyjątkową. Na Zachodzie kapitanowie przemysłu wywodzili się z dawnej ludności handlowej. W Polsce przemysł wielki jest tworzony przez ręce żydowskie bądź niemieckie. W nikłym procencie występują rdzennie polskie mieszczaństwo, poza światem rzemieślniczym. Po r. 1863 powstałe dopływ przedstawicieli warstwy szlacheckiej, którzy bądź jak Połaniecki biorą się do handlu, bądź osiadają w miastach, jako przedstawiciele zawodów wolnych, a później — szczególnie w Małopolsce — przenikają do administracji publicznej. Swoją rolę w mieście przedstawiciele warstwy szlacheckiej traktują początkowo, jako stan przejściowy i żyją, jak Połaniecki, myślą o Krzemieniu. Rzeczywistość w większości wypadków chce inaczej. Proces asymilacji tych ludzi ze środowiskiem miejskim jest jednak powolny i trudny. Nie rozumieją swojej nowej roli, w wytwórcy, człowieku świeżej daty, pozbawionym tradycji, widzą na ogół tyle, ile Łący dostrzegają w Wokulskim. Szlachecka tradycja staje się momentem wyższości, obroną przed zdeklasowaniem. Brak udziału w procesach wytwórczych poczytywany jest za drugi moment wyższości. Powstająca w mieszczaństwie grupa inteligentka podkreśla znaczenie faktu, iż jej znaczenie oparte jest o myśl, niezależną od pracy wytwórczej, od warsztatów i kantorów z „Ziemi Obiecanej” Reymonta.

W końcu XIX wieku następuje w mieszczaństwie rozdział na grupę drobnomieszczańską i grupę inteligentką, która wchłonęła prócz zawodów wolnych i pracowników umysłowych także zamożniejsze mieszczaństwo. W ten sposób do świadomości inteligentkiej przenika w skąpy sposób pierwiastek ideologii mieszczańskiej, w szerszym stopniu przedostają się w jej obręb pierwiastki psychiki szlacheckiej w ich postromantycznych formach — jako uprzedmiotlenie życiowej porażki. Jako niewygaska tęsknota do utraconych siedlisk. Ludzie, wyrwani z warunków swej warstwy, z nią jedną się ciągle liczą z jej opinia. Ten motyw tak świetnie uchwyciła Dąbrowka w stosunku Barbary Niechcicowej do Krepkich. Gdy wziąć linię rozwojową po-

*) J. N. Miller wyjaśniał, jak dalece romantyzm w Polsce był pogłosem świadomości szlacheckiej likwidującej swą społeczną i dziejową rolę.

POWIEŚCI XIX W.

wieści polskiej w XIX w., uderzy w niej — w porównaniu z literaturą francuską — brak wielu ogniw. Nie ma w niej Balzac'a, nie ma w niej Stendhala, oczywiście nie w roli genetycznych czy psychologicznych odpowiedników, lecz w skali historycznej literackiej roli. Różnica jest zresztą bardziej jeszcze zasadnicza. We francuskim wieku XIX istnieje bilateralizm tradycji klasycznej XVIII w. i tradycji romantycznej. Tego rozdwojenia w terenie polskiej powieści nie ma. Powieść polska zaczyna się w skali tego, co jest ważne, a nie tylko w skali bibliograficznych zapisów, od Kraszewskiego, człowieka, który niewątpliwie przeżył swoją romantyczną epokę. Kraszewski jako powieściopisarz, jako artysta, wytyczył drogę rozwojowi powieści w Polsce: nie analiza pobudek postępowania, nie analiza charakteru i nie rysunek namiętności ludzkich jest osią jego powieści, lecz zagadnienie stosunku bohatera do idei, do czegoś, stojącego na zewnątrz duszy człowieka, do tego, co można by nazwać imperatywem społecznym. Treść tego imperatywu społecznego u Kraszewskiego nie jest jednolita. We wcześniejszej fazie żywi się głębią romantyczną, w późniejszej — imperatyw ten nabiera cech bardziej osobistych, bardziej wewnętrznych^{*)}. Narodziny owego imperatywu mają źródło w treści polskiego romantyzmu, w obowiązkach moralnych, które romantyzm nakładał każdemu Polakowi.

Imperatyw społeczny jako oś zainteresowań powieści przetrwał w okresie późniejszym, pozytywistycznym, zarówno u Prusa, jak i Orzeszkowej. Zmienił w sposób wyraźny swą treść; została ona dostosowana do ducha popowstaniowej reakcji pozytywistycznej, a zarazem wzbogaciła się o nowe widzenie społeczne o rys humanitarny. Jednocześnie, szczególnie w powieści Prusa, na powierzchni wypływa zagadnienie charakteru, które Kraszewskiego zajęło wyraźniej dopiero pod koniec jego twórczości. Rysunek bohatera u Prusa, pod wpływem powieści francuskiej, staje się wyrazistejszy i nie podporządkowany już tak całkowicie wymaganiom społecznego imperatywu. Charakter zostaje autonomiczny, staje się własnością indywidualną. Bohaterowie Prusa są o wiele bliżej świata Balzac'a niż bohaterom francuskiej powieści realistycznej. Rzeki jest ileż — zresztą — mocniejszy w rysunku niż napoleoniści Balzac'a, niż nawet generał Hulot!

Prus wydaje się najprawdźszym pisarzem polskiego mieszczaństwa. Wokulski daje miarę, jak bardzo mieszczaństwo polskie czuło się zależne od szlacheckiej tradycji — w braku własnej, jak w tych warunkach styl inteligentcko-szlachecki musiał nabierać cech orientacji kulturalnej. We Francji mieszczaństwo miało tradycję wielkiej rewolucji, w Anglii — zwycięstwo nad Stuartami, Cromwella i triumf wigów w XVIII wieku, triumf ostateczny, którego przypięczętowaniem stało się w XIX wieku zniesienie ceł zbożowych i reformy ordynacji wyborczej. U nas był warty epizod Dekerta i Kilińskiego, wigizm i jakobinizm w maleńkich porajach, Ideologia mieszczaństwa zachodnio-europejskiego w początkach XIX w., w okresie rewolucji przemysłowej, jest wytworem radykalizmu i idei demokracji; na dobrą sprawę, przetrwa w tej formie do czasów Gladstone'a. Wtedy dopiero zaznaczy się konserwatywna reakcja jako wynik utrwalenia swojej doby-

^{*)} Ciekawe rzeczy o Kraszewskim napisał K. W. Zawodziński w studiach „Kraszewski nasz współczesny” i „O Szalonej”.

czy. Radykalizm nabiera cech herezji: tworzy się już jednak sekta, która go przyjmuje jako wyznacznik; marksizm w jego różnych odmianach.

Na Prusie i Orzeszkowej kończy się krótkotrwały w Polsce okres mieszczańskiego rydykalizmu w literaturze. Świętochowski, wódz duchowy pokolenia, przesuwa się ku pozycjom umiarkowanym, wytyczonym na rumowiskach poglądu na świat, opartego na wierze w zwycięstwo nauk przyrodniczych, w buckle'owski i mechanistyczny model świata. Wizja naturalistyczna, której chronologiczne opóźnienie w stosunku do literatury francuskiej jest widoczne, kołacz się w polskiej literaturze niesłychanie długo — od Dygasińskiego do Reymonta. Pod piórem Reymonta powstają najcenniejsze powieści polskiego naturalizmu — „Chłopi” i „Ziemia obiecana”. Bohaterowie Reymonta, inaczej niż bohaterowie Zoli, nie noszą w sobie zarodków dekompozycji. Naturalizm Reymonta, jak i naturalizm „Rodziny Połanieckich”, Sienkiewicza, jest przeniknięty głęboko — powierzchownym, mimo wszystko — optymizmem. Bohaterowie Reymonta uchwycają pewien prymitywizm psychiczny: nie dlatego, że nie istnieje dla nich imperatyw społeczny w rozumieniu Prusa czy Orzeszkowej. Od tych obowiązków ludzie Reymonta są uwolnieni, ich motorem działania jest niemal fizjologiczne uczucie potrzeby, która — inaczej niż u Zoli — może być zaspokojona. „Rougon Macquart” dają obraz świata, w którym nie można wytrzymać, który musi się kończyć Sedanem — takim czy innym. Bohaterowie „Ziemi Obiecanej” są przystosowani do mechanizmu nieludzkiego swego życia, duszą się we własnym ciśnieniu, ale potrafią mu sprostać. Jad otoczenia, jad środowiska przenika ich tak głęboko, że go nie czują. Nie czują potrzeby protestu. Pod tym względem Połaniecki jest do nich podobny: ani na chwilę nie zastanawia się, że jego metody handlowe są typową spekulacją. Połaniecki wytrzymuje klimat wilczej walki o powodzenie i wróci do Krzemienia. Wróci i podejmie nie tradycję szlacheckiej, do końca nie zrozumiał, że jego powrót nie jest moralny, że choć legalny — nie daje mu możliwości nawiazania istotnego do tradycji. Imperatyw społeczny Połanieckiego jest fałszywy już nie tylko moralnie i społecznie, Sienkiewicz intronizuje rodzinę pani Maryni w Krzemieniu nie bez triumfu, choć my oczekiwaliśmy ironii, tej ironii, z jaką Flaubert w ostatnim zdaniu swej powieści zapowiedział, że pan Homais ma być odznaczony Legią Honorową.

Bohaterowie polskiego naturalizmu budzą niechęć lub obojętność, gdy chodzi np. o Borynów. Konflikty Borynów rozgrywa się pod zamkniętą pokrywką, są w tym znaczeniu podwójnie wewnętrzne. Dzieją się w świecie izolowanym społecznie i ten moment umniejsza wagę „Chłopów”. Sienkiewicz jest tym pisarzem, który treść imperatywu społecznego położył u fundamentów swego pisarstwa. Imperatyw społeczny nie tyle jest sprawą jego bohaterów, ile jego własną, sprawą autora. Jest to niemal wyjątkowe w literaturze europejskiej, ale nie wyjątkowe w polskiej, zjawisko twórczości o typie dydaktycznym. Powieść historyczna Sienkiewicza, inaczej niż u Waltera Scotta, nie jest eksploracją przeszłości, ale też w ograniczonym sensie służy do mówienia o czasie współczesnym. Jej zadaniem jest „krzepienie serc”, jedna z tych funkcji, które nakładała na siebie literatura romantyczna. Sienkiewicz nie sądzi ani współczesności, ani nawet przeszłości: szuka kamienia wę-

gielnego dla nadziei. W takich wypadkach jest się optymistą. Jest to partii prisi — i dlatego sąd Sienkiewicza o przeszłości jest w większości wypadków nieprawdziwy, dowolny; czasami nie jest wcale sądem, a jak w „Quo vadis” — malowidłem a la Siemiradzki. Sienkiewicz wykazuje, jak trudno było inteligencji polskiej zerwać z tradycją szlachecką, jak duch Kraszińskiego po śmierci jeszcze triumfował nad duchem autora „Trzech Psalmów”. Hasło postępu, ogłoszone przez Świętochowskiego, opierało się na idei obowiązku i sprawiedliwości. Pokolenie Sienkiewicza — bądź jak on sam — przeciwstawiło się treści tego hasła, czego miarą stało się „Bez dogmatu”, bądź zostawiwszy na tarczach słowo postęp, jako obowiązek uznało przyjęcie racjonalizmu nauk przyrodniczych, z doktryną spencerowskiej ewolucji włącznie, a za sprawiedliwość — wyrozumiałość i optymizm wobec tradycji historycznej. Wobec tradycji królestwa, tradycji Jeremiego, Sienkiewicz jest zresztą wyrozumialszy, niż Weyssenhoff, uznany za herolda ginących praw arystokracji, wobec Zbąskich i Zbaraskich w „Sprawie Dołęgi”. Sprawiedliwość wobec człowieka, o której mówił pozytywizm, w swej realnej formie trafiała nawet do uczuć przemysłowców i posiadaczy papierów: nie naruszała podstaw ustroju, apelowała raczej do filantropii, do litości i współczucia wobec cierpienia. W polskim historyzoficznym słowniku cierpienie zajmuje wiele miejsca i apel naturalizmu o sprawiedliwość wobec cierpienia (o cierpienie, nie o wyzysk rzecz idzie) trafia w polskiej świadomości na zaskórne poromantyczne wody, na całe szlacheckie dziedzictwo, które po złotej wolności odziedziczyło spadek cierpiętnictwa. Romantyzm europejski wiązał swoją sprawę ze sprawą wolności ludów i wyzwolenia warstw pogńeblonych. W swoich emigracyjnych okrucach, w późniejszej fazie Mickiewicza, polski romantyzm podejmował te horyzonty. W kraju ustalił się jednak romantyzm w formie skróconej: wolność stawała się w nim coraz bardziej echem Wielkiego Dzwonu, istotą stało się usprawiedliwienie wobec siebie, wobec innych: filantropia społeczna.

Przybyszewski jest tym — obok Reymonta — wybitnym powieściopisarzem dziewiętnastego stulecia, który jest niezainteresowany imperatywem społecznym. Jego bohaterowie są wsparci o koncepcję namiętności, o wizję życia nacechowaną pesymizmem i piętnem samotności. Koncepcja ta nie wyrosła z polskiej literackiej tradycji, zjawiała się w obcych europejskich literaturach i zapewne dlatego „naga dusza” oddziaływała na współczesne pokolenie poetów, lecz nie wyłobila dróg oddziaływania na powieść. Mocny człowiek Przybyszewskiego jest jak bohaterowie europejskiego modernizmu, jak Nagel z „Misteriów” Hamstuna, jak postacie z ówczesnej literatury niemieckiej, oderwany od historii, oderwany od społeczeństwa. Ma w duszy charakterystyczną szczelinę. Przy całej tęsknocie do mocy, przy całej sile namiętności — jest niezdolny do czynu, a tylko do historii. Jego namiętność jest fałszywa, jest zamierzona, a nie osiągnięta. Jest ostatecznie rodzajem poży i daje ten efekt, na jaki poza się zdobyć potrafi — dziwactwo i kaprys. W tym właśnie jest znaczenie Przybyszewskiego, że przyswoił naszej literaturze te formy szamotania się z niemocą, które przeżywała ówczesna literatura europejska. Jego znaczenie można by porównać do znaczenia potężnej dawki narkotyku: zażycie tego narkotyku wzmocniło przebieg reakcji, dało jej patologicz-

ne formy, podkreśliło charakter tej reakcji, jej wymowę dekompozycji. Dekompozycji osobowości. Mocny człowiek — to najstarszy z synów Półanieckiego, młodszy brat Płoszowskiego. Pustka wewnętrzna Półanieckiego i Płoszowskiego tworzyła głód, który musiał być jakoś zaspokojony, rozwiązany.

Ale przeświadczenia, które wnoszą mocny człowiek, są czymś, co jest nie u nas wytworzone. Do tych przeświadczeń dochodzi inteligencja polska jako do gotowego wyniku — w tym sensie jest to narkotyk i w tym sensie na jaw się wydobywa rozpaczliwa niesamodzielność ówczesnej polskiej kulturalnej myśli.

Schyłek XIX w. jest w Europie, ogólnie ujmując, okresem pesymizmu i pustki, okresem, kiedy zanika koncepcja treści twórczej. „My żyjemy cieniem przeszłości — powtarzał Brzozowski słowa Renana — czym będzie żyła przyszłość?” „Żaden z naszych okresów poetyckich nie obejmował poetów tak dosłownie werbalnych — pisze Thibaudet w artykule o symbolizmie z marca 1912 r. — i którzy z tego zdawali sobie sprawę i którzy dlatego cierpieli. Względna bezpłodność Mallarmé pochodzi stąd, że nie znalazł on nic, co mógłby opiewać, a to, o czym on mówił, to był właśnie ten brak, ten niedostatek bytu... Symbolizm był próbą poezji czystej, próbą usunięcia z wiersza tego, co jest z prozy, z logiki łączącej, z konwencji i ze zwyczajów”. W tym poczuciu załamania się wartości bierze początek nieufność w stosunku do pojęcia stałego czasu, jaką Mann kładzie w duszę Castorpa z „Czarodziejskiej Góry”. To ogólne zjawisko należy zrozumieć i ocenić; nie chodzi o to, aby je potępiać, ale aby zrozumieć kulturalne tło epoki, zawartej w „Próchnie” Berenta. Zdarza się często w literaturze, że warunki mijają, lecz dzieła o wiele dłużej jeszcze ciągnie tradycji. Takie tradycje bezsilne i pasywnie należy wykryć i odrzucić. Potępienie, gdy o potępieniu idzie, przychodzi to łatwo. Nie w potępieniu Przybyszewskiego rzecz jest zawarta, a w potępieniu wpływów, którym my ulegamy, które na nas działają.

W esyaju „Kryzys literatury rosyjskiej” starał się Brzozowski wykazać źródła tego dreszczu obrzydzenia do życia, którym ogarnięta była umysłowość europejska u schyłku XIX stulecia, kiedy świat duchowy — jak w zakończeniu Buddenbrooków dla młodego ich bohatera staje się przedmiotem estetycznego opracowania i duchowej kontemplacji, kiedy zatracca się zdolność snucia linii. Na tym tle rodzi się owo pełne nagany — i obudy — westchnienie bohaterów Przybyszewskiego — „podłe życie, co ono zrobiło z człowieka”.

Dramat schyłku XIX w. jest dramatem intelektualistów, który objął całą niemal inteligencję. Przybyszewski jest objawem, że dramat ten ogarnął i polską świadomość kulturalną. Próby pokonania trudności, które w takiej Francji wiązały się z działalnością Barresa, Gide'a czy Romain Rollanda, będziemy widzieli i w Polsce.

Działalność piarska Balickiego czy Dmowskiego dużo mniejszy w Polsce na literaturę wpływ wywarła niż we Francji pisma przywódców „Action Française”. Inteligencja t. zw. postępową, dla której hasło postępu coraz bardziej staje się okopami św. Trójcy, skąd myśl niezależna o rozwoju życia, a kierowana przez racjonalizm logiki, ma upórządkować świat zewnętrzny, częściowo odpyływa w stronę sztandarów Balickiego: realizm, trzeźwość, jasność, wsparte o zasadę nowej etyki, że realne dobro konkretnego społeczeństwa, do którego jednostka należy, jest ostateczną wartością. Ze strony obozu Dmowskiego pada potępienie powstań zbrojnych, torem myśli Popiela i St. Tarnowskiego — w imię narodowego vetera et tradita. Tradycjonalizm tego obozu, z pozoru tak rewolucyjny w swoim hi-

W świetle...

STALIN POWIEDZIAŁ.
W dn. 7 kwietnia generalissimus Stalin wygłosił podczas obiadu wydanego na cześć delegacji fińskiej mowę, w której powiedział m. in.: „Wielu ludzi nie wierzy w możliwość istnienia między narodem wielkim a małym stosunków opartych na równouprawnieniu. Jednakże my, ludzie radzieccy, uważamy, że takie stosunki są możliwe i że tak być powinno. Każdy naród — obojętnie czy wielki czy też mały — ma swoje specyficzne właściwości, które stanowią ów wkład, jaki wnoszą do ogólnej skarbnicy kultury światowej, uzupełniając i wzbogacając tę skarbnicę. W tym sensie wszystkie narody — wielkie i małe — znajdują się w identycznej sytuacji i każdy naród posiada równą doniosłość, jak którykolwiek bądź inny naród”.

TRAKTAT Z WŁOCHAMI.
USA, W. Brytania i Francja zaproponowały rządowi ZSRR podjęcie rozmów celem dokonania rewizji traktatu z Włochami i przekazania Triestu z powrotem Italii. Równocześnie niemal władze wojskowe alianckie przekazały rządy w Triestzie administracji cywilnej. ZSRR odrzuciła propozycję państw zachodnich nie zgadzając się na propozycję rewizji traktatu z Włochami. Jugosławia zaprotestowała wobec Anglii i USA przeciw polityce tych państw na terenie Triestu, stanowiącej — według Jugosławii — pogwałcenie traktatu pokojowego. Rząd Jugosławii wyraził zgodę na przedyskutowanie z rządem Włoch sprawy Triestu w bilateralnych rozmowach. Wydała się iż sprawę Triestu należy traktować w tej chwili jako pewien manewr agitacyjny w związku z wyborami włoskimi, jakie odbyły się 18 kwietnia.

SYTUACJA W BERLINIE.
Kolejne posiedzenie Międzyalianskiej Rady Kontroli, które miało odbyć się 10 kwietnia, nie zostało w ogóle zwołane. „Reuter” wydał komunikat stwierdzający, iż stało się to dlatego, że rząd radziecki nie życzy sobie wzajemnego dyskusowania sprawy reformy walutowej w Niemczech. Natomiast komunikat radziecki odrzuca tego rodzaju oskarżenie i stwierdza, iż rząd radziecki strefy okupacyjnej przedstawił swego czasu aliantom projekty reformy walutowej do przeprowadzenia jej w całych Niemczech — niestety zostały one odrzucone, gdyż państwa zachodnie dążą do podziału Niemiec na dwie części, zorganizowanie odrębnego państwa Niemiec Zachodnich i przeprowadzenia tam oddzielnej reformy walutowej.

Na żądanie władz radzieckich zwinęte zostały posterunki technicznego pogotowia samochodowego na autostradzie wiodącej z strefy brytyjskiej do Berlina przez strefę radziecką.

Gen. Robertson — dowódca strefy brytyjskiej, przyjął propozycję marsz. Sokolowskiego w sprawie zorganizowania radziecko-brytyjskiej komisji mającej ustalić przebieg i winę katastrofy samolotów brytyjskiego i radzieckiego, w wyniku której pasażerowie i załoga obu maszyn poniosła śmierć. Wypadek ten stał się przyczyną licznych ataków na ZSRR w prasie amerykańskiej. Spowodował nawet napięcie sytuacji na terenie Berlina między czterema aliantami, tym bardziej, iż zbiegł się w czasie, z kontrolą ruchu pasażerskiego i towarowego wprowadzoną przez władze radzieckie na trasie pociągów i szos łączących Berlin ze strefami okupacyjnymi zachodnimi.

JEDNOŚĆ
Ogłoszono na Węgrzech, iż połączenie partii komunistycznej z socjalistyczną nastąpi w ciągu kwietnia i maja. W Czechosłowacji połączenie tych dwóch partii zrealizuje się jeszcze przed pierwszym maja

torycznym rewizjonizmie, nie rezygnuje ze starszłacheckiego spadku Józefa Rzeźwycy, odnowionego niedawno przez Sienkiewicza. Przełamuje linię antyromantycznej reakcji z roku 1863.

Powieść stała się domeną innych wogół. Neoromantyzm Żeromskiego Struga wysuwa kult bohatera i poświęcenia, bohaterstwo i poświęcenie stają się treścią odnowionego imperatywu społecznego powieści. Żeromski i Strug wydobywały się poza przedowe koło intelektualizmu schyłkowego. Pada nie wołanie o czyn, lecz tworzy się gloria poświęcenia. Romantyczny problem Gustawa z „Dziadów” odżywa w konflikcie duchowym d-ra Judyta. Bohater powieści nie jest rozpatrywany jako charakter, lecz charakter jest traktowany pod kątem zdolności do ofiary, do rezygnacji ze siebie, do poświęcenia siebie na ołtarzu imperatywu. Za Żeromskim i Strugiem staje pewna ideologia społeczna, ideologia postępowej inteligencji, która zawiera sojusz z socjalizmem. Sojusz ten skończy się po roku 1920: w czasie wydarzeń wojennych socjalizm przetrwał niesłychane przeobrażenia. Imperatyw społeczny Żeromskiego i Struga, jak kiedyś imperatyw Prusa i

Orzeszkowej, zawiera zawsze jednak nie tylko treść narodową, lecz i socjalną. Szczególnie Żeromski znalazł się na tej linii serca, i to jest cecha charakterystyczna polskiej literatury, że w niej „serce” oznacza solidaryzowanie się ze sprawą upośledzonych i poniżonych, z walką o sprawiedliwość społeczną. Nie zaś sprawy indywidualne, nie „tajniki serca” w rozumieniu spowiedzi miłości, w rozumieniu powieści francuskiej.

Wpływ Żeromskiego na współczesnych był ogromny. W jego cieniu powstaje twórczość Struga i Daniłowskiego, w jego cieniu stoi jedna z pierwszych powieści Nalkowskiej „Książę”. Charakterystyczne, że wpływ ten urywa się w dwudziestolecie 1918 — 1939. Tak na Żeromskim kończy się w literaturze polskiej wiek XIX, wiek imperatywu społecznego.

Staraliśmy się wykazać poprzednio jakimi drogami doszło we Francji do zaniku bohatera w powieści. W literaturze polskiej, pod wieloma względami tak czulej na etapy rozwoju powieści francuskiej zwłaszcza w drugiej połowie XIX wieku i w okresie powojennym, koleje bohatera literackiego są inne: gdy literaturze zabraknie imperatywu społecznego,

bohater w powieści polskiej staje się moribundem. Studium namiętności, koncepcja życia, nigdy nie było zasadniczą ambicją polskiej powieści, poza Przybyszewskim i Reymontem, lecz już u tego ostatniego w ograniczonym moenie wydaniu. W tych warunkach tradycja bohatera była w Polsce tradycją imperatywu społecznego. Ale nawet pod tą formą od czasów Prusa rysunek charakteru staje się linią dekompozycji. Nie w tym sensie, aby bohaterowie polskiej powieści byli coraz gorsi moralnie, ale w tym znaczeniu, że są coraz mniej spójni psychicznie, że ulegają procesowi rozluźnienia wewnętrznych więzów — w zasadzie podobnemu, acz mniej wyrazistemu, niż w literaturze francuskiej.

Najsilniejszym w sensie literackim, najbardziej wyrazistym jako koncepcja życia, pozostanie po XIX w. Wokulski Prusa. Tej doskonałości rysunku literackiego nie osiągnięto i w dwudziestolecie, które nas zajmuje. Nie osiągnął tej wyrazistości, nie mówiąc już o Sienkiewiczu, i Żeromskim — poza może postacią Cezarego Baryki. To jest jednak już zagadnienie, które osobno musi być potraktowane.

Z tym wszystkim należy podkreślić,

że imperatyw społeczny jest wizją życia, jest tym, co może zastąpić namiętność, co może stać się namiętnością wewnętrzną. Będzie on jednak stanowić klucz do zrozumienia tajemnicy, dlaczego powieść polska XIX w. — z niewielu wyjątkami — jest nieczytelna w znaczeniu europejskim. Jej koncepcje życia są umiejscowione geograficznie. Egzotyzm powieści rosyjskiej ma psychologiczny charakter — i ostatecznie nie Gleb Uspienski i nawet nie Gogol zdobyli Europę, lecz Dostojewski i Tołstoj. Egzotyzm powieści polskiej wymaga nie tylko znajomości geografii, lecz i historii*).

Jeżeli można mówić, że wiek XIX sięga w literaturze polskiej po woj-

*) Jedną tylko można wskazać powieść polską tego okresu, która dla Europy nie byłaby w tym sensie egzotyczna, t. zn. „Pałuba” Irzykowskiego, ale ta właśnie powieść jest egzotyczna dla polskiej publiczności. Nie wiem czy można by naliczyć wśród żyjących 20 czytelników „Pałuby”. Nie jest to jednak powieść w ściślejszym sensie tego pojęcia, a raczej dzieło z zakresu teorii literatury, jako premis twórczości pisarskiej, co jednak nie osłabia wymowy.

Włodzimierz Pietrzak.

Nabyć, czytać, nie czytać?...

INWAZJA NA EUROPE. Marszałek Montgomery of Almeida. Wydawnictwo Panteonu.

Sądze, iż przeciętny czytelnik polski, po pobieżnym przeczytaniu tej książki odłoży ją z rozczarowaniem. Gigantyczna, ziemno - morską - powietrzną ofensywą armii sojuszników, która doprowadziła do całkowitego rozbitcia i zniszczenia niemieckiego frontu zachodniego rysuje się w opowiadaniu jednego z głównych aktorów tej akcji w sposób suchy i schematyczny. Czasami wydaje się, iż autor zebrał jedynie i streścił komunikaty ówczesne sztabu wojsk alianckich. Sprawozdanie marszałka Montgomeryego uderza skąpym wyliczeniem danych cyfrowych. Dokładnie nie wiemy, jaką siłą rozporządzali alianci na lądzie, morzu i w powietrzu. Nie znamy cyfr ilustrujących dokładnie siłę wojsk niemieckich. Na koniec nieznane są nam wyniki cyfrowe akcji: straty nieprzyjaciela i własne, zdobycze w materiale i ilości wziętych jeńców.

A jednak przy dokładniejszym wczycaniu się w treść tej małej książki, robi ona wrażenie przejmujące. Przede wszystkim ze względu na tragiczną zbliżność naszych dzieł z ofensywą aliancką. Przecle rozpoczęła się ona dnia 6 czerwca 1944 r. Pierwsza połowa sierpnia to okres słynnych walk Pierwszej Dywizji Pancerniej pod Falaise, gdzie zniszczono 6 pancernych dywizji niemieckich, a jednocześnie dnie walk powstańczych w Warszawie, szczególnie na Woli i Starym Mieście.

Obok tych momentów specjalnych, bliższe zbadanie mapek, dołączonych do książki w sposób przejrzysty, wykazuje postępy ofensywy, która z wąskiego paska na wybrzeżu rozwinęła się do olbrzymiego przedsięwzięcia. Szybkość pierwszych etapów ofensywy charakteryzuje okoliczność, że autor na osiągnięcie linii Sekwany przeznaczył 90 dni, gdy faktycznie rzeka została przekroczona w 75 dniu ofensywy. Podziw budzi również precyzyjne zorganizowanie zaopatrzenia wojsk walczących, które posuwały się niekiedy, z szybkością 100 kilometrów na dobę, jeżeli zważymy, że koleje zostały prawie całkowicie unieruchomione. porty zniszczone, i że w pierwszych etapach walki trzeba było wszystko dowozić morzem, wyładowywać w prowizorycznych portach, a następnie zaopatrzenie oprzeć na transportach samochodowych. To też bodaj jedynymi ustępami, w których przebiega w suchym sprawozdaniu duma i zadowolenie dowódcy są te, w których wspomina on o terminowym, zgodnym z planem przeprowadzeniu operacji i osiągnięciu zamierzonych celów.

Zresztą, już po rozwinięciu się ofensywy, nie brakło momentów tragicznych. Należy do nich niedany desant pod Arnheim i kontrofensywa niemiecka w Ardenach. Jak wiemy, pierwsze niepowodzenie zadań krwawymi stratami polska warszawska brygada wojsk spadochronowych. Nie doczekała się ona udragnętego zrzutu na Warszawę,

a jej żołnierze umierali w beznadziejnej walce nad Renem.

Dla czytelników, którzy lubują się w mapach i którzy mają w pamięci pisma i wydawnictwa niemieckie o kampanii wrześniowej, książka Montgomeryego będzie stałym źródłem radości. Na licznych mapkach, załączonych do tekstu, czytelnik dostrzeże liczne, ostre strzały godzące we front niemiecki. To kierunki zwycięskiej ofensywy, symbole przełamanych frontów i okrążeń wojska

niemieckiego. Kto odczuwał bolesny skurcz serca na widok podobnych, niemieckich rysunków, obrazujących nasze klęski, z uczuciem zadowolenia będzie oglądał fragment wielkiego dramatu sprawiedliwości dziejowej — klęski niemieckiej.

J. Z.

ŁOPALEWSKI TADEUSZ: Obok zagłady, Warszawa 1948.

Książka Łopalewskiego jest opowieścią o powstaniu, o losach powojennych warszawskich rozbitków,

a na paru ostatnich kartach wkracza w okres czasów obecnych. Główną ambicją autora było, jak się zdaje, wiernie odtworzenie rzeczywistości na niewielkim odcinku dziejących się spraw. Żadnego obejmowania „wszystkości” problemów i zagadnień. Postawę autora można by określić jako postawę fotografa - amatora. Wskutek tego książka „Obok zagłady” jest lekturą łatwo strawną, nie przynoszącą żadnych wstrząsów, wprowadzającą czytelnika w swój

F I L M

Pierwsza wielka scena, scena apelu. Oko kamery błędzi wahadłowo po jednostajnie kołyszącym się tłumie więźniarek beznadziejnie zmęczonych jeszcze jednym dniem. Nad ich głowami pięknie zachodzi słońce rzucając ostatnie promienie na plac. Nieśmowity jest nastrój tej chwili.

Nastrój ten nie opuszcza widza aż do końca.

**

Temat jest trudny. Wydawało się, że młoda polska kinematografia wzięła na siebie zadanie ponad siły. Zaden z realizatorów obcych dotychczas nie zaryzykował podjęcia takiego tematu, włoski obraz „Rzym, miasto otwarte” oparty na walce z Niemcami, bardzo pośpiesznie kręcony, miał szereg usterek i jedną zasadniczą: przesadzonej gry. Krótkometrażówki dokumentarne kręcące przez Amerykanów po zakończeniu wojny są tylko zbiorem strasznych ale martwych dokumentów.

Ostatni Etap niewątpliwie nasunie wiele refleksji. Jego temat jest nam zbyt bliski. Jest długo i z niepokojem oczekiwaną wypowiedzią. Chcielibyśmy aby zawierał wszystkie momenty istotne, wszystko to, co składało się na obóz koncentracyjny. Chcielibyśmy, aby będąc wypowiedzią — wypowiedział to czego doznaliśmy, stworzył pełny obraz. Zeby również oddał to czego nie umieliśmy wypowiedzieć lub czego nie można ująć w słowie. Zeby jednocześnie pokazał obóz tym, którzy go nie znają.

Przy ogromie materiału zaspokoić te nadzieje nie było łatwo. Cała prawda o obozie koncentracyjnym sądzić że ma taką rozpiętość i tak wielką zawartość uczuciową, że niesposób jest pokazać wszystko. W tym ujęciu selekcja materiału jest nie tylko zagadnieniem pierwszoplanowym, ale jest niezbędna. Film ma charakter fragmentaryczny, jego sędą jest nie akcja, nie poszczególne postacie i ich

działanie, ale nastrój i ogólne wrażenie jakie pozostawia. Wychodząc po skończonym seansie nie wiemy jak wyglądał dzień obozowy. Poznaliśmy tylko kilka charakterystycznych momentów życia, widzimy w postaciach więźniarek nie poszczególnych ludzi, ale typ, który reprezentuje pewną grupę społeczeństwa obozowego. W filmie tym nie jest ważny przebieg akcji, ważną jest suma pojedynczych scen, która daje nam wizję obozu. Akcja nie komplikuje się, nie narasta, nie dąży do punktu kulminacyjnego — dominuje i gra powtarzający się motyw apeli, transportów, dymu z pieców krematoryjnych i przytłaczająca szarość i nędza przyrody i otoczenia. Grają fakty.

Wielką zasługą Wandy Jakubowskiej jako scenarzysty i reżysera jest to, że nie nagromadziła ona przytłaczającej lawiny okropności, lecz dokonała starannej selekcji i nie zawałała się przed pominięciem łatwo efektownych momentów drastycznych, że nie pozwoliła na — jakże łatwe — przejasnienie gry, nie ocalała bohaterów. W filmie tym aktor i jego gra jest tylko środkiem dla przeniesienia na ekran faktów. W tym ujęciu zarówno rola aktorów jak i reżysera jest rolą tylko pozornie łatwą — w rzeczywistości bardzo trudną i niewdzięczną.

Bardzo trafne jest ujęcie Niemców. Uniknięcie karykatury, normalność ich reakcji na widok ładnego dziecka czy pieszka, stwarzają w widzu przekonanie o autentyczności tych postaci. Jedną z najbardziej przekonujących jest scena spokojnej, rzeczowej dyskusji nad problemem powiększenia wydajności pieców krematoryjnych.

Trzeba podkreślić dobrą grę aktorów (świetna niemieczka). Ze wszystkich — trudnych — ról najniebezpieczniejszą może, najłatwiejszą do wpadnięcia w przesadę jest zagrana bardzo naturalnie rola Marty. Pełną

wdzięku jest postać Nadii. Oprawa muzyczna stanęła na wysokości zadania. Wydaje mi się jednak, że efekt artystyczny zostałby jeszcze zwiększony, gdyby niektóre ze scen pozabwicie tła dźwięków — wydobyć efekt pełnej skupienia, ciężkiej, napiętej ciszy. Na podkreślenie zasługuje sposób prowadzenia kamery przez operatora Borysa Monastyrskiego, który wydobywa efekty ciekawe i pełne wyrazu. Oryginalnym i dającym pozytywny rezultat jest pomysł wielojęzyczności filmu. Zwiększa to jego wagę dokumentarną i jednocześnie podkreśla wspólnotę więźniów, których nie dzieli bariery językowe. Dopełniają całości dobre epizody (Cyganka, twarz dyrygentki, kilka świetnych masek wśród kobiet na apelu).

Pewne zastrzeżenia wysunąłbym co do dialogu i montażu. Dla przykładu: prolog — scena łapanki — nadaje żywe tempo. Nie jest ono utrzymane, osłabiają je długie napisy (sądzę, że można by je w większej części przenieść na koniec tym bardziej, że ze względu na wielką ilość wykonawców chcielibyśmy widzieć obsadę po zakończeniu, gdy postacie filmu są nam już znajome). Podobnie na końcu filmu, gdy kilkakrotnie, długie zbliżenia Marty na tle samolotów sprawiają wrażenie zakończenia, a scena jej śmierci (i testament Marty) jest jak gdyby tylko dołączona i zanika.

Usterki te nie są może istotne — tym niemniej chcielibyśmy, aby film ten ich nie posiadał. Może on śmiało konkurować z filmami produkcji obecnej. Rewelacyjny temat w połączeniu z dobrym wykonaniem nadaje mu duże wartości propagandowe. Pozostaje tylko życzyć Filmowi Polskiemu, aby Ostatni Etap był pierwszym i następne mogły być oglądane z równym, jeśli nie większym zainteresowaniem. Leszczyński

świat bez zahamowań i bez silnych emocji.

Jeśli się jednak trochę głębiej zastanowić nad niektórymi elementami techniki pisarskiej Łopalewskiego trzeba skonstatować, że postawa „fotografa - amatora” jest złudą. Owszem — autor nie szczędzi retuszu zarówno swoim bohaterom jak i sytuacji. Do ludzi, którym załadnia Łopalewski swą powieść — podchodzi (poza nielicznymi wyjątkami) z wyraźnym brakiem sympatii, nie szczędząc im rysów karykaturalnych. Na pierwszy plan wysuwa się postać profesora uniwersytetu warszawskiego — uczonego językoznawcy Runiewicza. Autor zaopatrzył go w takie ujemne rysy jak snobizm, egolizm, brak inteligencji wreszcie. Wprawdzie Runiewicz w toku powieści ulega pewnym przeobrażeniom, ale dzieje się to w sposób tak mało przekonywujący, że sympatii naszej nie zyskuje. Nie lepiej „obmalował” Łopalewski poetę. Ten pozbawiony samokrytycyzmu młody bałwan jest tchórzem, łalusem, a jeśli w końcu idzie za partyzantami, to tylko prawdopodobnie dlatego, że zbyt jest bezwolny, aby opanowywać zachcianki nawet niewytłumaczalne. Postacie dalszoplanowe są bezbarwne i wskutek tego nie przyciągają uwagi czytelnika. Są jednak i tacy ludzie, którzy ukazują się epizodycznie, ale wyposażeni w wiele cech plastycznych i żywych, ujmują swą prostotą. Do takich postaci należy stara Aleksandra, chłopiec z uschniętą ręką, wiejska gospodyni, u której mieszkali po powstaniu Runiewiczowie.

„Obok zagłady” nie jest dziełem wysokiej miary — nie można jednak powieści tej odmówić cech, które czynią z niej przyjemną, interesującą lekturę. G. N.

ADMINISTRACJA

uprzejmie prosi PT. Prenumeratorów o dokładne i czytelne podawanie nazwisk i adresów. Nieczytelny lub niedokładny adres opóźnia lub często uniemożliwia wysyłkę pisma. Jednocześnie uprzejmie prosimy o uregulowanie zaległych opłat za prenumeratę.

PAMIĘTAJ O ODBUDOWIE OPACTWA TYNIECKIEGO

Można wpłacać na konto P.K.O. — Kraków — IV—477 (Opactwo O.O. Benedyktynów) — też w Administracji „Tygodnika Powszechnego”.

W tym czasie wydarzyła się w jego organizacji jakaś wysypa. Ja dałem mu melinę na moim terenie. On zrewanżował mi się paru cennymi kontaktami... No, ostatecznie sytuacja dojrzała sama z siebie do wyjaśnienia. Wolf zdecydował się. Przeszedł do nas.

Tłumaczył to głównie chęcią wejścia w jakąś konkretną robotę. Ale to była sprawa pewnych poważniejszych krystalizacji, które w nim zachodziły, a badanie płatków śniegu (tak mnie się przynajmniej wydaje), nie było tu pozbawione znaczenia. Dla mnie osobiście, to był jak gdyby epilog afery Silberminza.

Więc teraz byliśmy już razem i to nie tylko w konspiracji, ale na dodatek w górach. Wiele wyjazdów w teren odbywaliśmy wspólnie. To są moje najwspanialsze okupacyjne wspomnienia. Pan wie, jak trudno było ostatnio poruszać się po Podhalu. Zakopane, Rabka, Nowy Targ, Nowy Sącz — to wszystko naszpikowane było gestapem, „fronturlauberaami”, ozdrowieńcami i S. S., Hitlerjugendem. Wszelkim świństwem. Za to góry pozostawiono całkowicie kozicom i świstakom. Korzystaliśmy z każdej okazji, żeby wyrwać choć na chwilę w ten lepszy świat. Nigdy nie smakował nam wiatr, słoniec, zapach kosówki, tak, jak wtedy. Chodził pan po górach? — nie? — szkoda.

Otóż Wolf wyrobił sobie z punktu dobrą markę u Matyldy. Sam też był zadowolony. Nie mam potrzeby rozwodzić się nad szczegółami naszej roboty. Matylda pewnie powiedział już panu to, co uważał za stosowne.

Teraz wchodzi w grę nowy wątek, bardzo ważny w tej całej historii. Słyszał pan o pastorowej, o Zuzie?

Wolf nauczony doświadczeniami swojej niedawnej wyspy wyprowadził się z domu i wynajął pokój u pastorów. Nie znał ich przedtem. Ktoś go tam skierował przypadkiem. To nowe mieszkanie było ściśle zakonspirowane przed znajomymi i rodziną. Ja oczywiście znałem adres i bywałem tam dosyć często. Muszę panu opisać to środowisko. Kiedy pierwszy raz zadzwoniłem do drzwi, otworzyła mi je mała, pretensjonalna laleczka w obcisłym szlafrocisku, w przydeptanych futerkowych pantofelkach, wsuniętych na bosa nogi, smagle jak u cyganki. Ponad wymalowaną, bardzo jeszcze smarkatą buzią, chwiały się zaczepnie wielki czub rudy (niewątliwie farbowanych) włosów. Mogła mieć najwyżej osiemnaście lat. Pamiętam, że spojrzenie, jakim powitała mnie wówczas, wprawiło mnie w dziwne zakłopotanie. Kobiety, które dotychczas znałem bardzo często nie potrafiły ukryć swojego zaciekawienia wobec obcego mężczyzny. Zawsze jednak umiały zaznaczyć jakiś dystans, podkreślić swoją i uznać cudzą niezależność.

Tutaj, w jednym błysku oczu, spod bardzo długich wywiniętych rzęs było od razu przenikliwe, wcale nie dziecinne otaksowanie człowieka i równocześnie zachęta do poufności, zachwała i rozbawione zaproszenie — „podobam ci się?” — pytały te oczy. To było tak, jakby te jej nienaturalnie czerwone usta zbliżyły się do mojej twarzy ciepłym, uperfumowanym oddechem.

Nic jeszcze nie wiedziałem o niej wtedy, a jednak po tym pierwszym spotkaniu, nie dziwiłem się już żadnej z tych rzeczy, których dowiedziałem się później.

Wolf, który ukazał się w drzwiach jednego z pokoi, przedstawił mi ją z żartobliwą zazyłością. — „To jest Zuza. Wielebna pastorowa”. — Mieszkała tu zaledwie kilka dni, a już był z nią po imieniu.

Jeszcze tego samego dnia zaprowadził mnie do kaplicy metodystów na kazanie pastora. Usiedliśmy w ostatnich krzesłach. Nieduża sala była schludna, banalna i sztywna. Gdyby nie wysoki pulpit i krzyż na ścianie, mogłaby być lokalem smatorskiego teatryku w jakimś prowincjonalnym miasteczku. Przed nami siedzieli ludzie ubrani czysto i biednie, pełni powagi i widocznej dobrej woli. To wszystko wydało mi się bardzo zdumiewające, tym bardziej że wszyscy śpiewali chórem psalmy, co do złudzenia przypominało lekcejszy śpiew w szkole powszechnej. Potem za pulpitem pojawił się drobny, jasnowłosy chłopiec w zgrabnym, czarnym tuzurku i z muszką związaną wytwornie pośrodku sztywnego kołnierzyka. Zaczął mówić głosem bardzo opanowanym, bogatym w subtelne akcenty umiarkowanego zapachu, logicznej perswazji i wyrozumiałej ironii. Nieprawdę był znakomitym mówcą. A w doświadczeniu jego młodzieńcza wątroba, dziewczęca czystość cery, rozumny blask wypukłych, niebieskich oczu, miękkość jasných wło-

sów, wijących się ponad wysokim czołem, stwarzały całość pełną wykwintu i uroku. Kiedy skończył mówić, jakaś kobiecina siedząca przede mną odezwała się do swojej sąsiadki szeptem pełnym nabożnego uwielbienia: „no, czy to nie jest anioł proszę pani?” Wolf, który słyszał te słowa, trącił mnie łokciem i uśmiechnął się złośliwie.

O ile Zuzę przejrzałem od pierwszej chwili, o tyle z odcyfrowaniem pastora przez długi czas miałem prawdziwy kłopot. Ten dwudziestoletni „duchowny” był jednym z najbardziej zagadkowych ludzi, jakich w życiu spotkałem.

Z bliska jego twarz znacznie mniej była seraficzna. Gdy w uśmiechu pociągał wysuniętą górną wargę, ukazywały się zbyt długie przednie zęby i wtedy cherubin stawał się nieprzyjemnie podobny do królika.

W początkach naszej znajomości prowadził ze mną bardzo inteligentne rozmowy o etyce chrześcijańskiej, o logicznej wyższości determinizmu nad indeterminizmem, o ateizmie Buddy... Zdumiewał mnie oczytaniami i zakresem wiadomości. Myślałem, że to jego intelektualizm razi i irytuje Wolfa. Bo Wolf wyrażał się zawsze o nim z pogar-

wszystkich brudnych poczekalniach na dworcach małych miasteczek. Wie pan o co mi chodzi. Taki pająkowaty homunculus o bladych, gapiowatych oczkach, wyrażających całemu światu nieufność i wzgardę. Twarz ospowata, zęby zepsute i rzadkie, bezbarwne, wyliniałe włosy zawsze zlepione potem i brudny kołnierzyk, podjeżdżający do samych uszu.

Między sobą nazywaliśmy go „parszywym”, ale to haniebne miano odnosiło się tylko do jego wyglądu. Jaki on tam naprawdę był, to trudno powiedzieć. W każdym razie na pewno nie był głupi. Odznaczał się fenomenalną wprost pamięcią i posiadał nie wątpliwy dar słowa, co zdumiewało tym bardziej, że nie popełniał błędów językowych, których mimowoli oczekiwało się od tak pospolicie wyglądającego osobnika. Słowa wychodziły z jego ust odporne i każde osobno, ale układały się w zdania oszczędne, jasne, pełne nacisku i przemyślanego sensu.

— Bądź z nim ostrożny, — uprzedzał mnie Wolf. — On bestia jest sprytny, będzie chciał ciebie rozszyfrować.

Kiedyś Andrzej wprawił mnie w prawdziwe zdumienie, recytując mnóstwo wyją-

nie wpadł, w terenie szło wszystko swoim normalnym trybem. Wyglądało na to, że synął mnie ktoś z firmy. Ale tam z nikim nie wchodziłem w żadne konfidencje, nikt nie mógł o mnie nic wiedzieć.

Tymczasem zarzut musiał być poważny i konkretny, bo pościg odbywał się z całym fasonem: żandarmi w hełmach, rozpylacze, samochody, rewizje, zasadzki w mieszkaniu.

Bardzo zdumiewająca i niemiła historia. Najwyraźniej ja miałem być proszę pana pierwszym ogniem wyspy i absolutnie nie mogłem zgadnąć, dlaczego to ja właśnie... jaką drogą to na mnie szło.

Przesiedziałem jeszcze parę dni w Krakowie, ale żadne badania i obserwacje nie dały rezultatów. Trzeba było wiać. Matylda dała mi urlop, Wolf objął placówkę, a ja uciekłem do Warszawy, nie wiedząc w dalszym ciągu co skąd i dlaczego.

Wyobraża pan sobie moje idiotyczne samopoczucie. Taka historia o nieznanym początku i niewiadomych następstwach wygląda, kiedy od niej odskoczyć, na złudzenie zmęczonej wyobraźni, na jakąś nierealną fantasmagorię. Nieustannie kusi człowieka, żeby jeszcze raz podejść do tego jakiegoś wiru we własnym życiu i przekonać się czy on tam naprawdę jest, czym grozi.

Wytrzymiałem na moim wygnaniu dwa tygodnie. A przez ten czas wszystkie moje sprawy, moje prawdziwe życie czekało na mnie, przerwane alarmem, może fałszywym, może błahym... Nie można takich rzeczy zostawić nie załatwionych, one muszą mieć swój dalszy ciąg i swoje zakończenie.

Wróciłem... Niech pan nie myśli, że opowiadam tu tylko swoją historię. To jest historia Wolfa. I właśnie teraz następuje jej najdziwniejszy, najbardziej niezrozumiały moment. Niech pan słucha... chociaż może praktycznie to nie ma znaczenia, ale dla mnie to jest właśnie punkt centralny. Bo... tak mi się przynajmniej zdaje, dzieje ludzkie nie polegają na samym tylko następstwie faktów... a nawet jeżeli tak jest, to chyba nie wszystkie fakty są naturalne... Trudno mi określić. Niech pan słucha.

Więc przyjechałem do Krakowa. Przede wszystkim poszedłem do jednego z lokalów ekspozytury zameldować się i dowiedzieć się co z moją sprawą. Nie potrafiłem mi nic powiedzieć. Było już późne popołudnie, najwyższy czas, żeby zatroszczyć się o nocleg. Postanowiłem tym razem skorzystać z gościnności jednych znajomych, mieszkających trochę z miastem, dosyć daleko. Z tym zamiarem opuściłem ekspozyturę. Padał drobny zimowy deszczyk, płyty chodników błyszczały wilgocią. Wyszedłem na ulicę pełen trzeźwej czujności, nastawiony na to, tak jak wszyscy ludzie ścigani, żeby nie przepuścić żadnej mijanej twarzy, żeby nie pozostawić żadnego kroku na los przypadku. Ale na zachodzie, ponad gmatwaną pozacieranych już zmierzchem, sinych płaszczyzn dachów, stał pas żółtej, przydymionej jasności przeźroczystej i chłodnej, popod nawisłą ciężko, ołowianą kurtyną chmur. W ową wodnistą, pozbawioną blasku jasność wpełzła ulica zanikając stopniowo i chaotycznie, załamując się czasem ostrym węglem jakiegoś muru, to znowu wstępując w niebo paru kwadratami pomarańczowych, niezaciemnionych jeszcze okien, jak fragment futurystycznego obrazu.

Wszystko to pasowało jakoś do mojej wewnętrznej niepewności, a poza tym było piękne... zagapiłem się. I dopiero na planach zorientowałem się nagle, że idę przecież w całkiem przeciwnym kierunku, że idę w stronę mojego domu, w którym kto wie, jakie zło, jaki podstęp się czai.

Stałem na brzegu trotuaru, koło słupa z ogłoszeniami, na którym w resztkach wieczornej poświaty tliła czerwona płachta ostatejnej egzekucyjnej listy. Wtedy na moim ramieniu spoczęła nagle czyjaś dłoń.

Nie od razu poznałem tego młodzieniaszka z długimi włosami i przyklepanym do czoła rondem andrusowskiego kapelusza. To był goniec z biura personalnego naszej firmy. Miał minę tajemniczą i ogromnie zakłopotaną.

— Dobrze, że pana spotykam — rzekł, rozglądając się na wszystkie strony, — pan na pewno zna adres Świtalskiego.

— Macie przecież jego adres w biurze, — odparłem ostrożnie.

— On nie mieszka w domu. Pan dobrze o tym wie... — i nachylając się do mojego ucha dodał półgłosem: — było u nas przed południem gestapo, zabrało jego kartotekę.

J. J. Szczepanski

Przyczynki do Sprawy Wolfa

5

da, a nawet w wstrętem. Bardzo często mówił o nim: „ta świnia pastor”

Z czasem, kiedy oswoiłem się bardziej z atmosferą Wolfowej meliny, kiedy stałem się tam codziennym niemal gościem, zrozumiałem, że ten wstręt, to nie tylko zazdrość (jak to sobie z początku tłumaczyłem). Z pastora wychodziły przy bliższym poznaniu przykre i rażące rzeczy.

Wobec mnie przybierał coraz częściej niesmaczny ton „postępowego” kapłana, człowieka, który z cyniczną świadomością stosuje dwie miarki w życiu — jedną dla „maluczkich”, drugą dla tych, którzy czytali Nitschego, Schopenhauera czy Kanta.

Z niezrozumiałą satysfakcją zwierzał mi się ze swoich przygód miłosnych, udzielał mi nawet rad doświadczonego don Juana. — Najskuteczniejszy sposób na zdobycie kobiety — mówił na przykład — to gadać z nią o duszy. Nic nie usposabia tak amoroso, jak dusza. — Takie maksymy proszę pana. I to wszystko z tą swoją miną natchnionego kaznodziei.

Ale z własną żoną nie rozmawiał już o niczym.

Między tym dwojgiem panował dziwny stosunek jakiejś zaciekłej, erotycznej nienawiści, z którą nie usiłowali niemal kryć się przed ludźmi. Ja pierwszy raz w życiu spotkałem się z czymś podobnym.

Kiedy pewnego razu Zuza zwierzyła mi się ni stąd, ni zowąd, że ma już siedmiu kochanków „na rozkładzie”, zdziwiło mnie tylko zachwalestwo tego wyznania, nie sam fakt. Ale kiedy innym razem Wolf powiedział mi: „wiesz, wczoraj pastor rzucił w Zuzę nożem” — poczułem się po prostu wstrząśnięty prawdziwością i pełnią obrazu, jego zgodnością z idealnym wyobrażeniem zdeprawowanego półświatka z tanich, sensacyjnych powieści. Wszystko tu było typowe. Pieniądże płynęły z nieznanych źródeł, zepsucie stroiło się w postępowe frazesy, lichy dramat spletał się z najprawdziwszą tragedią ludzkich wykołajeń.

Przerażony patrzyłem, jak Wolf w tym grzeźbie coraz głębiej. Jego to bawiło i pod niecało, wydawało mu się znacznie bardziej zajmujące od nudnawej, cnotliwej atmosfery macierzyńskiego domu.

Ta Zuza złapała go na diabelnie trafnie wybrany haczyk. Odwołała się do jego rycerskich uczuć, wezwała jego opieki przeciw atakom pasji swojego małżonka.

Ostrzegłem Romana, że tu szykuje się jakiś smród. Wzruszał ramionami i odpowiadał „możliwe”, z wyraźną intencją wyprowadzenia mnie z równowagi. Na dobitkę przychodził tam jeszcze Andrzej, były szef Wolfa. Nie wiem jakim prawem znał ten adres.

Gdyby pan zobaczył Andrzeja, byłby pan przekonany, że już go pan gdzieś widział. Każdy odnosił to wrażenie. To pochodziło stąd, że tysiące takich właśnie ludzi tuła się po wszelkich Tarnowach i Bochniach, po

ków ze współczesnej poezji. Słonimski Tuwim, Galczyński, Przyboś, Iłakowiczówna... To był rodzaj zaimprovizowanej antologii, charakteryzującej poglądy polityczne autorów. Tło polityczne każdej sprawy, to była jedna rzecz, która interesowała Andrzeja. Do tego sprowadzał wszystko. Postawa emocjonalna była mu zupełnie obcą. O Oświęcimiu, Treblince, egzekucjach i łapaniach mówił ze spokojem historyka. Ważył te fakty i oceniał je nie jako potworności, ale jako błędne pociągnięcia w toczącej się rozgrywce. Sam od siebie zdawał się nie propagować niczego. — „Trzeba znać sposób” — mówił, i to było chyba jego credo.

Pastorowie urządzali czasem popijawy, na które schodziło się „ich towarzystwo”. Bywali tam kawiarniani kanciarze, załgani i rozwydrzeni słuchacze szkoły misyjnej, konspiratorzy i jakieś smarkate mężatki i rozwódki w typie pani domu. Andrzej też brał udział w tych imprezach.

Zuza upijała się zwykle bardzo prędko. Siadała wtedy mężczyznom na kolanach, całowała się z wszystkimi i stawała się nieznosnie nachalna. Pastor w przerwach między uczoneymi monologami urządził chamskie sceny, a Wolf pił mileząco i ponuro, wyraźnie przejęty niesmakiem, ale bezsilny wobec jakiegoś ziego czaru, który działał na niego w tym domu. Jedynie Andrzej za chowywał się w tych okolicznościach z godnym podziwu umiarem i trzeźwością. Romek utrzymywał wprawdzie, że jest on nałogowym alkoholiczkiem, ale ja nie widziałem nigdy, żeby na tych zebraniach wypił więcej, jak dwa kieliszki. Może pan sobie teraz wyobrazić z grubsza „styl” domu pastorów. Wolf uwikłał się w to wszystko na amen.

Ten stan rzeczy, który, jak mi się czasami zdawało, groził nieustannie katastrofą, trwał mniej więcej rok i wszyscy zaczynaliśmy się do niego przyzwyczajać. Wolf chwalił sobie swoje niespokojne locum, no a ja... cóż? — Właściwie nie miałem tu nic do gadania. On pracował w dalszym ciągu solidnie, reszta, to były przecież jego prywatne sprawy.

Wreszcie przyszła moja wyspa...

Zaczęto mnie nagle szukać i to bardzo energicznie. W domu, w biurze, w urzędach, w których załatwiałem firmowe sprawy. Spadło to na mnie, jak grom z jasnego nieba. Na szczęście robotnicy z działu transportu zdolali mnie na czas ostrzec, tak, że z punktu dałem nogę. Od razu zaalarmowałem ekspozyturę i skomunikowałem się z Wolfem. Mieliśmy oto przed sobą nieśmiertelną, konspiracyjny problem: „skąd smród wieje?” — problem tak oklepany, że nie robił już wrażenia osobistego przeżycia. Ale tym razem sprawa wydała się rzeczywiście zagadkowa.

Sądząc z kroków przedsięwziętych przez gestapo, Niemcy doskonale zorientowani byli w moich stosunkach „legalnych”, wszelkie kontakty organizacyjne natomiast były jak dotąd nietknięte. Nikt od Matyldy

Czytelnik uważa, że...

W niniejszej rubryce drukować będziemy wypowiedzi i opinie naszych Czytelników na temat wszelkich zagadnień życia współczesnego, politycznego, społecznego, gospodarczego i kulturalnego, choćby odbiegające od stanowiska redakcji.

Wypowiedzi winny być opatrzone imieniem i nazwiskiem lub pseudonimem (w tym wypadku nazwisko winno być podane do wiadomości redakcji) oraz nazwa miejscowości. Wypowiedzi nie powinny przekraczać 50 wierszy druku. Ze względu na brak miejsca, redakcja zastrzega sobie prawo przeprowadzenia ewentualnych skrótów z zachowaniem pełnego sensu nadesłanych listów.

DO „DZIS I JUTRO”

Artykuł dyskusyjny Mariana Badera p. t. „Odrodzić się od obłędu” jest bardzo — frapujący — ...Nie jestem literatem, lecz zwykłym robotnikiem — piszę co czuję i o czym jestem przekonany.

Przed wszystkim postawmy sobie pytanie. Czy należy odrozić się od obłędu i w jaki sposób

Sądę, iż należy odrozić się od tego „obłędu”, ale nie w sposób proponowany przez Mariana Badera, którego końcowe wnioski polegają na wyeliminowaniu wszelkiej ntyśki o barbarzyństwo, którego dotychczas świat nie widział, pod żadnym względem, jeśli chodzi o ilość, jakość czy rodzaj uśmierconych ludzi, czy też o wyhodowaną w Niemczech, u wielu milionów ludzi, myśl wymordowania do szczytu całych narodów, li tylko dla realizacji takiego czy innego programu niemieckiej partii politycznej. I my mamy się odrozić od pamięci o tym, my Polacy, ażeby się „umoralnić” i przez miłość, miłość i przebaczenie, osiągnąć raczej spokój i szczęście duchowe, dochodzące do wartości nadprzyrodzonych. Ujęcie powyższe jest bardzo piękne i ponieważ odpowiada strukturze psychicznej umęczonego Narodu Polskiego.

Tło takiego rozumowania jest wyjątkowo uroczyste i dalekosiężne, jak wieczność, jak Opatrzność i dlatego należy brać tę rzecz poważnie. Nie negując więc samego rozumowania ani tła, nie zgadzam się na stawianie tej całej sprawy na tej płaszczyźnie, t. zn. dlaczego wyjątkowo my mamy zmienić kategorię naszych myśli w kierunku ich startu do świętości, wtedy gdy inne narody będą czyhały na najbliższą sposobność, ażeby nas zniszczyć do reszty, tak, abyśmy zniknęli jako Naród z powierzchni ziemi.

Wszelkie znaki na niebie i ziemi wskazują na to, iż już dzisiaj Niemcy myślą o odwecie. Jak my reagujemy na to? Mamy z miłością i wyciągniętą ręką do zgody iść, z odkrytym czołem naprzeciw Trizonii, która w sumie prawie cała żałuje, że nie wymordowała wszystkich Polaków w ostatniej wojnie — (a była taka sposobność). Nie. Pan Bóg dał człowiekowi wolną wolę i rozum. Rozum zaś dyktuje nam (m. in.) prawo do życia zbiorowego na równych warunkach z innymi narodami — to znaczy, że chodzi po prostu o równe szanse życiowe, które obecnie są różne. Zatem sprawa cała, moim zdaniem, posiada dwa oddzielne aspekty. Pierwszy o charakterze wewnętrznym - wychowawczym i drugi o charakterze ofensywno - propagandowym odnośnie do innych narodów, na zewnątrz.

Wiemy, iż otrzaskaliśmy się z niebezpieczeństwem ludzkim, z nędzą i krzywdą bliźniego do tego stopnia, że zatraćliśmy już w znacznym stopniu pojęcie dobra i zła i oscylujemy koło granicy przepaści moralnej. Wiemy, iż to oznacza granicę, poza którą dalej pójść nie wolno, jeśli mamy zachować duszę Narodu zdolną do bytu. Należy więc za pomocą literatury, szkoły i rządu przestawić nasze zwrotnice psychiczne w kierunku realnej, czystej, dobrej i wzniołej myśli, dbając przy tym, by makabryczna przeszłość była podana w takiej formie, by nie demoralizując, mogła

stanowić dostateczny dokument ilustrujący bez reszty o faktycznych nieślusnych i nieusprawiedliwionych przez żadne prawo ani etykę, cierpieniach Polaków w ostatniej wojnie. Nie jest to wszystko. Należy ugruntować w społeczeństwie poszanowanie cudzej własności, wzbudzić szacunek do wartości moralnych bliźniego, nauczyć kobiety umiejętności podejścia do rzeczy, dla których żyją, a o których zdają się coraz częściej zapominać, t. zn. nauczyć je dobrze urzędzić, a zwłaszcza wychować człowieka, wreszcie nauczyć mężczyzn sztuki dobrego ojcostwa. Jak więc widzimy ogrom pracy stoi przed nami i zachodzi pytanie: czy i z jakimi rezultatami ukończono już filozoficzne dociekania o pojęciach istotnych w ujmowaniu pow. zagadnień życiowych, t. zn. czy uzgodniono w sferach ogólnonarodowej np. a) jak powinny wyglądać umiejętności dobrego ojcostwa u mężczyzny, b) na czym polega dobre urodzenie — a zwłaszcza dobre wychowanie człowieka, c) co to znaczy wartość moralna u bliźniego, d) co to znaczy i na czym polega poszanowanie cudzej własności itd. itd.

Przeciętny człowiek nie jest filozofem i dlatego chcąc na niego oddziaływać dydaktycznie, należy wszelkie reguły etyczne, zawile rozumowania i wątpliwości podawać mu w silnym skrócie, lapidarnie, łopata w głowę, jak się to mówi, w formie sloganów i haseł raczej, to dobre, a to złe, a jak Ty robisz? a tego nie wolno — a co Ty robisz?

Wszystkie instytucje i organizacje powinny równocześnie pracować dla przebudówki myślowej w pożądanym kierunku. Jeśli zaś chodzi o drugi aspekt, propagandy na zewnątrz, to czynnik propagandowy swoją pracę powinny opierać na filozofii ścisłej, czyli inaczej do narodów np. zachodnich, powinniśmy podchodzić na podstawie ich indywidualnej psychologii, biorąc za podstawę działania fakt, iż system myślenia każdego narodu jest inny. Biorąc pod uwagę powyższe właściwości każdego narodu z osobna, można, umiejętnie dobierając formę, dokładnie i zrozumiale informować zagranicę o strasznej cenie, jaką Polacy zapłacili i za spokój Anglików też w ostatniej wojnie.

Tylko oczywiście bądem wyrozumiałymi, nas boli, nas bolało — Anglików nie boli i nie bolało, my jesteśmy uczuciowi, impulsywni, aż przeżeni w przekonaniu formalnej i materialnej prawdy z naszej strony, zaś Anglik jest to materialista, bez krzyży uczucia, któremu może zaimponować kupa złota, zmysł handlu, oraz siła, której musiałby się bać. A że Polacy byli mordowani przez Niemców, to trudno! Niechby byli zrobili tak jak Czesi, gdy widzieli, że nic nie mogą zrobić. Na brak zmysłu kupieckiego u kogoś Anglik nie ma recepty i nim najwyżej... gardzi. Takich „dorosłych i niezardanych dzieci Anglia ma dużo w swojej „spółocie narodów”, w Zelandii, Australii, Afryce czy Azji. Anglik nawet nie ma czasu na poświęcenie czasu i myśli rzeczom, które nie dotyczą problemu panowania Anglików nad światem. W powodzi różnorodnych istotnych dla Anglika problemów dnia, w które

dzisiejsza doba jest tak brzemienne, jest po prostu trudno włączyć się w myśl Anglika i zaabsorbować go sprawami np. polskimi w ich tragicznej formie. Anglik nie chce tego słyszeć — on sam przeżywa własną tragedię, bo władza nad światem wykneła mu się z rąk i on czyni tysiąc sztuczki dzienne, by zachować chociaż pozory i uratować „dla swego koryta” co się tylko jeszcze da.

Dostrajając się do sposobu rozumowania Anglika należało ob. Marianowi Baderowi koniecznie napisać znajomemu wydawcy angielskiemu wspomnienia obozowe bez okropności, a tylko tak jak się tam „rzeczywiście żyło”, tak jak opisuje się często np. życie trędowatych w izolowanych rezerwach. Rzeczą uczonych jest przeprowadzić dowody okropnej prawdy w odnośnych pracach historycznych, bacząc pilnie na wszystkie nowoczesne encyklopedie. Podejście w opisywaniu „prawdy obozowej” powinno być inne dla każdego narodu w Europie, ale zawsze dostosowane do mentalności słuchacza na danej szerokości geograficznej.

Sądę, iż do tego rodzaju prac informujących rzeczowo o wkładzie Polski w ogólną pulę ofiar zwycięstwa poszczególne narody, powinien przyczynić się każdy Polak posiadający możliwość ku temu, a o skutki możemy być spokojni, tym bardziej, że nie żyjemy niczymi łaską, lecz własną, ciężką rzetelną i uczciwą pracą, która jest uznawana po cichutku i przez Anglików.

S. F.

DO REDAKCJI „DZIS I JUTRO”

P. St. Kisielewski po wielokroć już w licznych artykułach, polemikach, listach do redakcji i w rubryce „Pokił” dawał wyraz chłopięcemu prawie entuzjastowskiemu dla liberalizmu. Głosi jego niespożytość; uważa ten ustrój za jedynie godny kulturalnej Europy; dla poparcia swego stanowiska powołuje się na doktrynę katolicką.

Liberalizm, w moim rozumieniu, jest poglądem, który głosi prawo człowieka do wolności i ruchem, dążącym do zapewnienia jak największych swobód indywidualnych. Pogląd ten jest całkowicie słuszny, ale tylko wtedy, kiedy jest rozumiany powszechnie. Otóż nie uwierzę w to, że Kisielewski będzie walczył o swobodę np. moje. Owszem, będzie on walczył o swobodę przekonana, wolność sumienia, działania, ale swoją własną. Wierzę w to, że będzie on walczył o chleb, o przywileje, o samochód np. o mięso, ale dla siebie przede wszystkim. Natomiast gdyby chodziło o mnie, to niedaleki będę chyba od przypuszczenia, że będzie on zdania, że takich powinno się zamykać i dobrze pilnować. Słowem, liberalizm w zastosowaniu praktycznym zamienia się w pytki i ciasny egoizm, którego nie hamuje żaden wzgląd moralny, żaden inny pogląd, żaden inny nakaz. Wszak liberalizm mówi tylko o swobodzie... o niczym innym. Jakie tu pole do dowolnych, samowolnych pojmoowań, innymi słowy nadużyć! Liberalizm jest herezją, to jest poglądem, wziętym z chrześcijaństwa, a wywodzącym się z nauki o wielkiej godności człowieka, poglądem, wyrwanym z całego kompleksu innych poglądów, które go miarkują, kontrolują, i nadają mu wartość ludzką, a odbierając cechy zwierzęce. Zgoda na liberalizm, ale pod warunkiem, że razem z nim będzie się mówić o sprawiedliwości, o miłości bliźniego, o pokorze, o wyrzeczeniu się, słowem o całej nauce Kościoła, w której liberalizm zginie i stanie się tylko drobny szczegółem. Wtedy tylko spełni on właściwie swą pożyteczną rolę, bez krzywdy dla bliźnich. Sam liberalizm w stanie czystym, będzie zawsze tylko dobozem naturalnym. powodem zażartych walk bezwzględnych egoizmów.

Może mi tu ktoś zarzucić, że jestem zbyt podejrzliwy, że przewidyuję tylko najgorsze. Ale właśnie polityka jest tą dziedziną, w której trzeba się obawiać najgorszego. Osobiście uważam wszystkich tych pa-

nów za najmilszych ludzi. Ale w polityce, gdzie chodzi o los tylu ludzi, nie może im wierzyć. Grzechem byłoby im wierzyć... karygodną lekkomyślnością. Człowiek naprawdę mądry jest przekonany o słuszności nauki o grzechu pierworodnym i najpierw nie wierzy sobie, a potem wszystkim ludziom i tak się urządza, tak stara się urządzić możliwe nadużycia władzy, bo na tym traci ogół, to jest wiele jednostek, gdy tylko poszczególne, nieliczne jednostki korzystają. Aby ustrój polityczny dobrze urządzić, potrzeba dwóch rzeczy: dodatniego oddziaływania na moralność ogólną i jednostkową, oraz kontroli, jak najszerszej kontroli społecznej nad działalnością jednostek. Te dwa czynniki zawsze będą konieczne, choć kontrola, skrepowanie przez władzę i instytucje społeczne może z czasem stopniowo tracić swą ostrość i surowość w miarę wzmagania się w społeczeństwach praworządności, to jest karności społecznej i podniesienia się poziomu moralnego. Każdy bezstronny obserwator historii ostatnich kilku dziesiątków lat zauważył zapewne, że stosunkowo krótki okres liberalizmu w Europie, osiągnięty setkami lat usiłowań i pragnień całych społeczeństw, bardzo szybko zepsuł te społeczeństwa i wywołał konieczność przywrócenia silniejszych ograniczeń i wzmożenia kontroli społecznej. Taka jest natura ludzka, taka jest natura społeczeństwa. I to jest nawet dobrze, bo przez to jednostki z sobą silniej są związane, bliżej z sobą współżyją, społeczeństwa są bardziej zwarte. Wzrosty w ten sposób muszą się doskonalić, każda jednostka musi dzięki temu zachować pewien minimalny stopień doskonałości moralnej.

Przypuszczam, że już dosyć tego liberalizmu pana Kisiele. Dobry był on jako zabawka, dobry, jako wstęp dla katechumena (choć ten okres katechumenatu trwa coś za długo), ale już czas i na coś bardziej katolickiego. Czyż mało mamy problemów? Z. Jakimlak.

LIST OTWARTY W ODPOWIEDZI NA LIST OTWARTY WANDY ŻÓŁKIEWSKIEJ W „MODZIE I ŻYCIU PRAKTYCZNYM”

W tygodniku p. t. „Moda i Życie Praktyczne” ukazał się artykuł wstępny w formie listu otwartego: „o małżeństwie udoskonalonym i o losie kobiety samotnej” napisany przez Obywatelkę Wandę Żółkiewską.

Artykuł ten z wielu względów budzi zainteresowanie. Autorka bardzo dzielnie lansuje umiłowane zasady: nie krepowanej przez nikogo wolności. Zupenie słuszne dążenie do wolności, ale winno być oparte na zdrowych zasadach rozsądku. Autorka opierając się na literaturze przedstawia pisarzy naturalistów, realistów i przy ich pomocy wykazuje, że wypełnienie obowiązków małżeńskich jest nie tylko rzeczą niemożliwą, ale „wprost trudną” i nudną; by osobiste wywody Obywatelki opierały się „na czymś”, wybiera sobie autorytety i przedstawia bohaterów na miarę Dulskiej. Takich typów w literaturze jest dużo, można by tu zacytować całego Piti-grillego i innych.

Ob. Z. zapomina, że nie jest to wina samego małżeństwa, że są niewierności, lecz wina poszczególnych jednostek, które wypaczają istotę małżeństwa. Szalony pęd zmian objął wszystkie dziedziny życia społecznego. Autorka uważa, że i te zmiany dotyczą małżeństwa.

Zupenie mylne przekonanie!!!

Pozwól sobie zapytać czy dzisiaj w inny jakiś sposób rodzą się ludzie „jak przed stu laty”? Każdy normalny człowiek odpowie, że nie. Jeżeli więc ówczesne małżeństwo spełniały swoje zadania, to dlaczego my dziś mamy szukać nowych form małżeństwa? Chyba tylko, by zerwać ze starą tradycją naszych praojców. Małżeństwo jest kontraktem dwustronnym, który daje prawo do specjalnego trybu życia współmałżonków, a przez Chrystusa do godności Sakramentu podniesionego.

Obywatelka nie zdaje sobie z tego sprawy i ma nawet trudności, czy małżeństwo jest kontraktem? Jest prozję Obywatelki!

W całkowitym zaślepieniu odwraca Ob. porządek jak istnieje w małżeństwie i wysuwa na plan pierwszy rzeczy trzeciorzędne, jak użycie zmysłowe zapominając o rzeczach pierwszorzędnych jakimi jest wychowanie

dzieci i podtrzymywanie ogniska rodzinnego. Proponuje, by kobieta wreszcie opuściła „kuchnię, sypialnię, pokój dziecienny i poszła razem z mężczyzną w zawody, by wykoryzowała pełną garścią nadającą się okazje życia”.

Czy może być wdzięczniejsze pole dla kobiety, jak rola matki, wychowującej nam nowe i zdrowe pokolenie, na którym tak bardzo naszej odrodzonej Ojczyźnie zależy. Czy lepiej jest widzieć kobietę, w zadyndymionych nocnych lokalach, odurzoną napojami alkoholowymi, ale „czerpającą pełną garścią życia, gdzie się da”, wg. zasad Ob.?

Oburza się Ob., że istnieje dotychczas ustrój patriarchalny t. zn., że głową rodziny jest ojciec. Jak strasznie jednak wyglądałoby życie, gdyby był ustrój matriarchalny t. zn. gdyby kobiety rządziły rodziną. Skutki byłyby takie jak artykuł Ob.

Mówi Ob. o trudnościach życia małżeńskiego a jakby dla ironii daje obrazek, nie wiem czy swego życia rodzinnego, czy kogoś innego. Gdzie widzimy małżeństwo w sielskim nastroju w czasie gdy matka karmi swoją pociechę. Jeśli jest miłość wzajemna i zrozumienie, czy żona potrzebuje „wyciągać rękę do życia. Chwytać okazje jakie mam ono stawia właśnie dziś, okazję do usamodzielnienia swego życia osobistego. Odwracamy czy od mężczyzny, a zwracamy je na świat”?

Wszystko się zmieniło, ale instytucja małżeńska jest ta sama od wieków i nikt nie sa słowa Obywatelki Z. „dopasujemy kroki nasze do kroków mężczyzny. Życie nam daje do tego prawo. Nie powracamy do dawnych form. Starajmy się wyluskać z nowej rzeczywistości nowy los kobiety”. Pytam, jaki? Czy los ladcacyjny? Namawianie ludzi do tego jest aspołecznym czynem i zasługuje na potępienie, bo to narusza zdrowe zasady demokracji.

Dziwi mnie, że redakcja „Moda i Życie Praktyczne” wydrukowała ten artykuł! Co w nim jest praktycznego? Wobec tego pismo winno zmienić tytuł.

pozostaje z szacunkiem
Janina Milczak
Wrocław

Nadesłano

SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZA „WIEDZA” WARSZAWA

Frank Bruno: Ceravnies, tłumaczenie Wandy Kragen, okładkę projektował Ignacy Witz, Warszawa, 1948, str. 276.

Tow. Wydawnicze „Czytelnik”, Warszawa.

Gojawicyńska Pola: Dom na skarpie, Warszawa, 1947, str. 160.

Kossak Zofia: Złota Wolność, powieść historyczna, 2 tomy, wyd. III, Warszawa, 1947, tom I — str. 251, tom II — str. 255.

Kraszewski Józef Ignacy: Bruhl, opowiadania historyczne, wstępem i objaśnieniem opatrzył prof. Wiktor Kahn, tom I, Warszawa, 1947, str. 291.

Rudnicki Adolf: Żołnierze, wydanie nowe, Warszawa, 1948, str. 167.

Krzywicka Irena: Bunt Kamila Martena — Skud i Wolni, powieść, okładkę projektował K. M. Sopoćko, Warszawa, 1948, str. 190.

Dąbrowska Maria: Noce i dnie, tom trzeci. Miłość, część pierwsza i druga, wydanie piąte, Warszawa, 1948, część pierwsza str. 361, część druga str. 317.

Guy de Maupassant: Baryczka i inne opowiadania, tłum. R. Czekańskiej-Heymanowej, Biblioteka Romanów i Powieści, 3, Warszawa, 1948, str. 64.

Centkiewicz Czesław J.: Wśród lodów północy, Biblioteka romanów i powieści, Warszawa, 1948, str. 63.

Spółdzielnia Wydawnicza „Książka”, Warszawa.

Gruszczyński K.: Plomień czerwonych krawatów, okładka S. Bernackiego, Warszawa, 1948, str. 22.

Jarmolińska H.: Pogadanki Przyrodnice, okładka Z. Rychlickiego, ski, Warszawa, 1948, str. 24.

Jurys R.: W służbie obcego wywiadu, stenogram procesu politycznego działaczy siatki szpiegowskiej KPOPP i „Stocznia”, Warszawa, 1948, str. 280.

Krzemieńska L.: O Gosiarczeczce Kasieni i o cudownych listkach pani Jesieni, wierszowane opowiadania dla dzieci, ilustrował Adam Bowberski, Warszawa, 1948, str. 24.

Lepicki Borys: Prawo rzymskie, podręcznik uniwersytecki, Warszawa, 1948, str. 452.

Prus Bolesław: Placówka, Biblioteka pisarzy polskich i obcych Nr. 31 pod redakcją Kazimierza Budzka, opracował Zygmunt Szweykowski, Warszawa, 1948, str. 272 XII.